PAN



SPORTY — KONKURS PIĘKNOŚ

Nr 6–7


J. ROKICKI & S KA
NOWY-ŚWIAT 53 NOWO-SENATORSKA 1
ARTYKUŁY SPORTU
i PODRÓŻY

Pani

PISMO POŚWIĘCONE KULTURZE I ESTETYCE ŻYCIA

Nr. 6—7 CZERWIEC—LIPIEC 1924 ROK III



TENNIS

Rysunek T. Rożankowskiego



Pani uprawia sporty

„Uprawia się“ zazwyczaj grzędy kwiatów, lub kapusty, co Pani najserdeczniej zalecam. Pani jednak uprawia sporty, co również jest rzeczą godziwą i wzniosłą. Posiada ona do tego talenty nadzwyczajne, dlatego też zna wszystkie odmiany sportu i pobiła wszystkie rekordy i jest niezwalczona.

Jak bardzo tkwi w naturze Pani zamiłowanie do sportu, widać odrazu w tem chociażby, że z czcigodnych zwyczajów greckich, uprawianych podczas igrzysk olimpijskich, tylko Pani przejęła niektóre i przez to daje znać wszystkim, że jest zawsze do igrzysk gotowa. Olimpijski atleta namaszczał się przed walką wyborową oliwą, aby ciału swojemu nadać giętkość, a muskułom prężność. Pani wie o tem i ona jedna to stosuje, więc się na wszelki wypadek namaszcza oliwą, gliceryną, cremem Simona, waseliną bezwonną, białą i żółtą, mlekiem ogórkowem, wodą grzaną, wodą kolońską, wodą dystylowaną, wodą różaną, spirytusem mydlanym, spirytusem mrówczanym, kremem od piegów, kremem od gęsiej skóry, kremem od Klawego, zaczem: cynobrem, szminką, przypalonym korkiem, ołówkiem niebieskim, ołówkiem bronzowym, pomadką czerwoną, pudrem stałym, pudrem w płynie; gdybym miał czas wyliczałbym przez całą stronicę te cudowne, pachnące, różnokolorowe, stałe i płynne i sproszkowane artykuły, które, odpowiednio użyte, czynią Panią wiotką, sprężystą i dzielną i do wszystkich sportów sposobną.

Pani jednakże nie wszystkie sporty uprawia z równem zamiłowaniem. Jedne lubi mniej, inne więcej.

Najulubieńszym sportem Pani jest „walka francuska“. Jest to sport piękny, wymagający niezmiernej zręczności, zgrabności członków i przytomności oka. Dwoje ludzi zwiera się w uścisku i jeden drugiego chce bez zbytniej brutalności, tylko sztuką i przez stosowanie odwiecznych, niezłomnych prawideł, położyć na łopatki. I rzecz dziwna! Mimo tego, że Pani uprawia ten sport z niebywałym zamiłowaniem od lat tysięcy, mimo tego, że w szybkości, wytworności i zgrabności ruchów prześcignęła nawet panterę, zwycięskie rekordy Pani w tym sporcie są niebywale nikłe. W dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto, Pani powalona jest na łopatki. Walka francuska, tak bardzo lubiana, jest dla Pani terenem klęski ustawicznej.

W „boksie“ zato święci Pani triumfy. Najgłośniejszy bokser pada w pierwszej rundzie, jeśli się Pani uda cios, rafinowanie wymierzony. Domowe ćwiczenia w boksie, tak sobie dla żartu, z mężem naprzykład, okazują jawną przewagę drobnych muskułów damskich. W sferach mało wytwornych, gdzie się stosuje boks ordynarny i zapalczywy, zdarza się, że obie strony postradały kilka zębów, albo mają przetrącone żebro. W sferach eleganckich, o których mówimy, tylko strona męska ma czasem znaki na gębie, lub lekko podbite oko. Do cięższych uszkodzeń nie dochodzi prawie nigdy.

„Bieg na przełaj“ jest również ulubionym sportem Pani, poprzedza go bowiem wyborowy i długotrwały trening. Przez całe swoje życie Pani nic właściwie innego nie robi, tylko biegnie na przełaj przez życie. Dlatego się zawsze spieszy.

„Sport konny“ jest przez Panią uprawiany rzadko ze względu na brak koni. Do doskonałości doszła Pani w niejakiej odmianie tego sportu i nikt tak nie jeździ na ośle, jak Pani na mężu.

„Piłka nożna“ jest u Pani w jawnej pogardzie, bo w walce o bramkę mężczyźni bywają zbyt brutalni. Konieczne jest uderzenie przeciwnika nogą w brzuch, co mu zadaje niejaki ból, tak, że przeciwnik się skręca i przez pół godziny, niewiadomo dlaczego — wyje. Pani nie umiałaby być tak brutalną. Dodać do tego należy, że Pani broniąc swej bramki, nie miałaby serca z wrodzonej dobroci nie dopuścić do niej jakiego Szweda, Amerykanina, lub Węgra i zbyt łatwo ponosiłaby klęskę — n. p. 5:0 (5:0) w jednym meczu.



„Lawn-tennis“ jest sportem przez Panią bardzo wyróżnianym, choćby z tego powodu, że nigdzie nie skojarzyło się tyle małżeństw, co przy tennisie. Byłby to jednak powód powierzchowny. Tennisa lubi Pani dlatego, że się przy nim rozmawia po angielsku, zupełnie nie znając języka, że można być złośliwym przez „cięte piłki“, że każde złe natarcie i pudło mężczyzny może być podkreślone przez cierpki uśmiech, że starsze matrony grać w tennisa nie mogą, bo trzeba biegać, że się przy grze w tennisa dostaje rumieńców, że ze zmęczenia falują piersi, że można przyjaciółce podbić piłką oko, że się przy tem nosi kolorowe sweatery, że można ocenić muskuły męskie, a jeszcze pokazać także coś niecoś. Są to tak walne zalety tego sportu, że jest on milszym nad wszystkie.

„Wiosłowanie“ i „sport pływacki“ jest u Pani zanotowany jako wcale..., wcale. Szczególnie sztuka pływania. Może doskonale pływać sardynka bez głowy (rzadko widział ją kto z głową), —

może i Pani. Sport ten jest dlatego przyjemny w oczach Pani, że się robi dużo przyjemności oczom innych. Pozatem — „dzieją się rzeczy na ziemi i na wodzie, szczególniej w wodzie, o których się nie śniło filozofom". Tem to łatwiej, że się żaden filozof nigdy nie kąpał.

„Skok o tyczce" uprawiany jest bardzo, bardzo rzadko i notowany jest z podziwem i zazdrością w świecie sportowym Pani. Rekordem skoku jest, jeśli ładne dziewczątko z magazynu tak skoczy, że zostaje hrabiną.

„Skok na odległość" zdarza się często, kiedy Pani uskoczy sobie od męża z przyjacielem n. p. do Nizzy, lub do Paryża.

„Rzut dyskiem" jest sportem cudownie pięknym, zaklętym w słynny marmur. Pani lubi go bardzo, wymaga bowiem ślicznego, skupionego ruchu i siły ramienia. Pani ćwiczy się w nim, cudownym ruchem chwytając talerz ze stołu i ciskając go lekko na wielką często odległość. Mąż przyjmuje ten pyszny ruch zawsze okrzykiem podziwu. Niewiadomo tylko, dlaczego wtedy dzieci podnoszą wielki wrzask.

„Bieg maratoński", t. zw. śmiertelny, uprawiany bywa tylko przez dziewice. Jako słynny Grek, tak biegną i one nieznużone do ołtarza. Potem naturalnie mdleją, jak ów Maratończyk.

„Sport automobilowy" znajduje się w stanie smętnym. Pani, tęskniąc do niego, choć nie ma automobilu, ma go jednak ustawicznie w pamięci. Dlatego tyle Pań pachnie zawsze benzyną.

„Myśliwstwo" jest bardzo rozwinięte i bardzo uprawiane. Nikt tak nie umie podejść tokującego głuszca, jak Pani i tak go do swoich stóp ściągnąć z gałęzi, jak ona. Najszczęśliwiej jednak poluje Pani na rogacze, równie zachłannie na strusie i rajskie ptaki, a trofea nosi potem z dumą na kapeluszu. Nieco niezrozumiałem jest u Pani polowanie na dudków i mordowanie młodych ptaszków, zwanych żółtodziobami. Pani z namiętnością poluje zapomocą zastawiania sideł i używa samotrzasków; najbardziej jednak ulubioną formą jej polowania, jest polowanie na „upatrzonego". Bardzo rozpowszechnionem jest polowanie „z nagonką"; Pani stoi na linji, a w nagonce idzie mama, dwadzieścia ciotek i pędzą ogłupioną zwierzynę. Ze smutkiem trzeba wyznać, że Pani nie uznaje czasu ochronnego i poluje zawsze.

„Golfa" Pani nie używa, bo uganianie z patykiem w ręku po trawie, aby wpędzić kulkę w otwór w ziemi, nie jest jej sprawą. Sportowi temu przypatruje się biernie i ze zniecierpliwieniem.

„Łyżwiarstwo" lubi zato bardzo. Jest to sport śliski i nęci perspektywą upadku.

„Bobsleigh" jest w modzie z tych samych względów. Ścisłe trzymanie się w objęciach napełnia wprawdzie Panią niesmakiem, lecz nagradza jej to piękno zimowego pejzażu i czystość powietrza, kiedy mróz szczypie i wszystko razem z nim to robi.



„Tir aux pigeons" jest bzdurstwem i Pani go nie uprawia, bo sport ten niema sensu: trafisz, to ptak na nic, nie trafisz, to ci ucieknie.

Pozostało jeszcze taternictwo, już przezemnie w żywocie Pani dokładnie omówione, narty, uprawiane z powodu męskiego kostjumu, krokiet, miły dlatego, że można w nim niewinnie oszukiwać. We wszystkiem tem potrafi Pani być mistrzem.

Wydaje mi się jednak, że prawdziwie pięknie, z nadzwyczajną brawurą, pewnie i wytwornie, bez żadnych już zastrzeżeń Pani potrafi uprawiać sport jeden tylko, niebezpieczny i naprawdę trudny: miłość. Gdyby tak nie było, niech mi kto pokaże takiego bęcwała, któryby był żonaty.

KORNEL MAKUSZYŃSKI

W I O S N A

Wiosna dziś, jak w kapelusz, ubrała się w moje okno,
Zawiązała woalką firanki
I patrzy nieba źrenicą błękitną, wilgotną,
Z uśmiechem spłakanej kochanki.
Ma lśniący płaszcz wiosenny — mokry jeszcze przeciwległy dach —
I czerwone pelargonje w butonierce.
A ja stoję, jak żak i wzdycham — ach —
I ręką przyciskam serce.
Bo serce mam wezbrane, jak nabrzmiały pąk na kasztanie,
Od rannej burzy tchu,
I na pęczku fijołków składam pocałowanie —
Przyjmując rendes-vous.

Będę czekać w cukierni ogrodu Saskiego
Na zielono kratkowanej werendzie.
Z ulicy będzie turkot, ale kurzu nie będzie,
Tylko w bluszczu wielki wróbli świergot.
Lody będą kremowe, jak herbaciane róże,
Bose dzieci przyniosą tam mokre bzy,
A potem gazetą szarpnie wiatr, i słońce błyśnie na murze —
I przyjdziesz — ty. —
A jeżeli w największej, największej tajemnicy
Powiesz mi — tak —
To ci kupię — baloników kolorowy krzak,
Co kołysze się na rogu ulicy.

BRONISŁAWA OSTROWSKA



LUSTRO

(Bajka)

Or sus, viens ça que je te baise
Et que je touche ton teton
Beaucoup plus vermeil qu'un bouton
Du mois de May...
P. Trotterel d'Aves.

Lustro, w którem się cudze odbijało życie,
Powiada raz: — I ja chcę pożyć należycie.
Odbijam szkłem miraże bólów i roskoszy,
Ani mi ten, ni tamta wprawdzie snów nie płoszy,
Lecz ja? cóż ja mam z tego? Wprawione w okładkę,
Nawet jej nie oglądam czyste lustro gładkie!
Słoneczny w głąb mą żaden nie przenika promień,
Chłód mój go zraża. Nie znam wstrząsów, oszołomień;
Uśmiecham się, gdy widzę w sobie twarz szczęśliwą,
Jej uśmiechem, nie swoim... Cóż ja, zimne szkliwo,
Powleczone od wnętrza srebrną amalgamą?...
Ni jęków, ni radości nie rozbrzmiewam gamą.
Milczę, grób kryształowy, płacząc w nieukoju
Tylko jedynie wtedy, kiedy mgła w pokoju, —
Łzami jej, nie swojemi... Gdy jacy szczęśnicy
Raczą siebie oglądać w mej szklanej źrenicy —
Tyle szczęścia mojego! Nie znam co człowiecze.
Tak pragnę żyć! Więc dalej, nim mię kurz powlecze —
Raz, dwa, trzy!...
Rozbujało się, i z całą mocą
Rym o ziemię! Nie było schylać się już poco.
. . . .

W dużych ramach poezja czystem jest zwierciadłem,
Życie odbijającem: gdy chce żyć — upadłem.
Bądźcie mali, poeci, wy, co żyć lubicie:
Poetom kieszonkowym nie grozi rozbicie.
Noszeni są w torebkach, w perfumach kąpani,
Żyjąc, są oczkiem w głowie protektorki-pani,
Która swą admirując twarz po kawałeczku
Przegląda się i kocha w małem lustereczku.

JAN LEMAŃSKI

LETNIE SUKNIE

Gdy jest się młodą kobietą, w samym środku lata,
To chciałoby się mieć letnich sukien moc. Wszystkie letnie suknie świata.

Kolory pachną, jak kwiaty. Potrafią być ciepłe i chłodne,
Niektóre są, jak wieczory. Inne — jak ranki pogodne.

Jedne są całe z miodu. Drugie z owocu banana.
Trzecie są cierpkie i gorzkie, jak gruszka zawcześnie zerwana.

Chcę, by nie było barwy chłodnej ani gorącej,
W której nie miałabym sukni z miękkiej materji pachnącej.

W tej — z zieloności migdału, całej w najmłodsze falbanki
Będę chodziła w poranki, w świeże i mokre poranki.

A tamta, złoto-różowa, z organdy, z krynoliną,
Rozpali się w pewne południe i zacznie pachnieć brzoskwinią.

Suknię koloru cytryny, w dzień najgorętszej pogody,
Gorzkawo-żółtą, zaciętą — dla rzeźwej włożę ochłody.

Jedną mieć będę cienką, liljową, jak leśne dzwonki:
W paproć najczulszą, najwiotszą ustroję ją zamiast koronki.

I jeszcze drugą z pajęczyn, i trzecią z wieczoru i cienia,
I tę, najcudniejszą, z obłoków, dla których nie znam imienia.

IRENA TUWIM

NASZ KONKURS PIĘKNOŚCI

(Warunki konkursu na str. 36)



Fot. St. Brzozowski

„FRAGONARD"



Fot. Vogt Berlin

PANI „D."



„ELKA"

„JOU-JOU"



„NINA"
II



Fot. St. Brzozowski



Fot. Gaszyński, Kraków

„SFINKS"



Fot. Studio Kraków

„SKALSKA"



Fot. Masłowski

„JUR"

„MIRA BIANCA"



Fot. Lewicka

„LUŚ"



Fot. Kirchner



Fot. Moderne

„NORMA"



Fot. Lewicka

„J. I. Ł. D."



„SOAVA"

„OKAZJA"

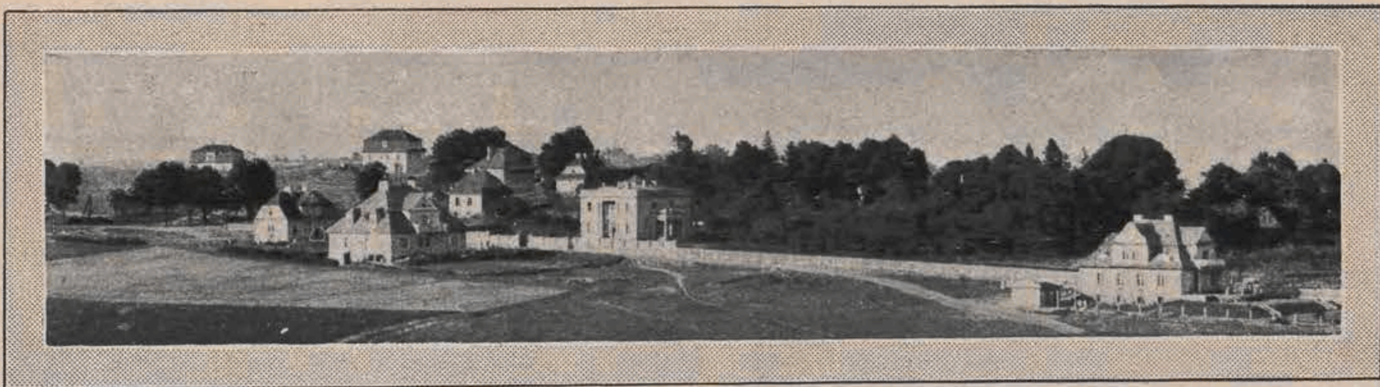


Fot. Malarski

„NINA I"



Fot. Malarski



Dom i Jego Pani

„There are as many versions of the Ideal Home as there are women in the world".
Win. Ryle—A. R. I. Arch.

Wytworna Pani powinna się nieco interesować architekturą; — nie dlatego, by móc odróżniać styl odrodzenia od baroku, lub dyskutować o kopułach lub Brr. amantach, lecz poto, by, kultywując swe wrodzone poczucie piękna, — a któraż Pani go nie posiada? — umieć cenić i popierać piękno w budownictwie, — odczuwać Architekturę.

Pani nie może być ignorantką w tej dziedzinie; trzeba, by „umiała patrzeć" na istniejące domy i mieszkania, — patrzeć z punktu widzenia piękna i estetyki; wówczas też potrafi dokonać wyboru architekta, godnego budowania słonecznego dla Niej domu.

Architekt jest nietylko artystą: ale i psychologiem: — musi on wyczuć jaki jest główny krąg zainteresowań tej, która ma żyć w nowo wznoszonym domu; musi wyczuć, jaki będzie tryb życia pięknej właścicielki projektowanego home'u; musi murom domu Pani nadać wdzięk Jej indywidualności!

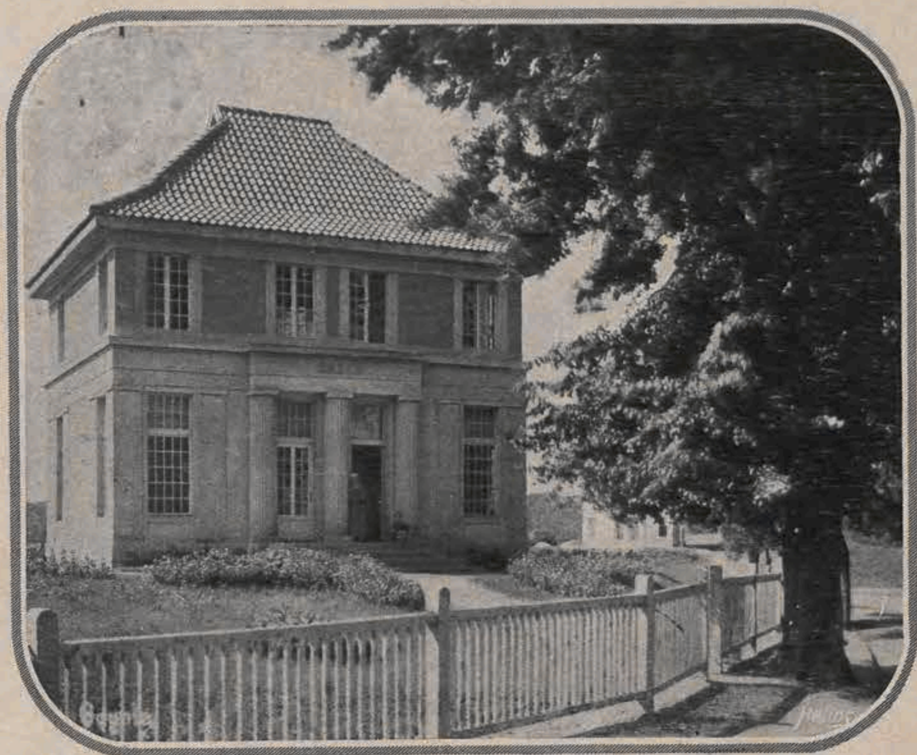
Architektura w Polsce stoi na poziomie europejskim, nie posiadamy jednak chwilowo pisma, któreby krzewiło jej kult wśród niefachowców; w obecnie wprowadzonym Dziale — „Pani" krzewić będzie ten kult — wśród Pań.

Wierna hasłu walki o estetykę życia, „Pani" przystępuje do współpracy architektonicznej z piękną czytelniczką: — będzie więc pokazywała współczesne polskie domy, dwory, lub letnie mieszkania; — będzie pokazywała nietylko fotografje i rysunki istniejących, lub projektowanych domów, lecz także ich „rzuty", by oswoić Panią z „czytaniem planów". — Lektura ta może być ciekawszą od najciekawszej powieści... — Jesienią zaś, gdy Pani wróci do domu z Kamiennej Góry czy Trouville, — znajdzie na swej czeczotkowej sekretarze zeszyt „Pani", poświęcony Wnętrzom...

* * *

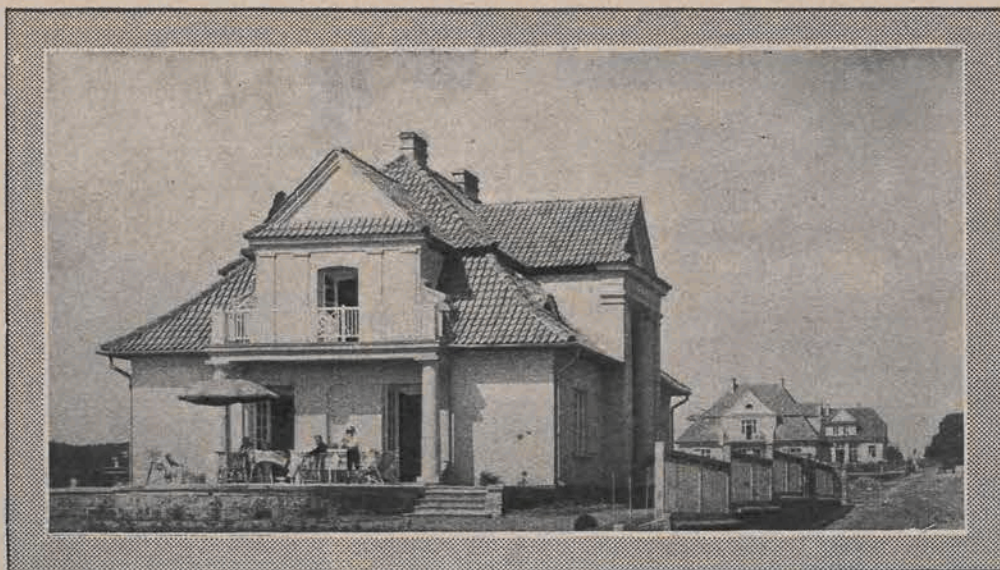
Ostatnie dziesiątki lat odznaczają się w dziedzinie architektury mieszkalnej dominującym

U góry: Szereg nowowznieslonych w Kamieńcu domków, projektowanych przez prof Tadeusza Zielińskiego



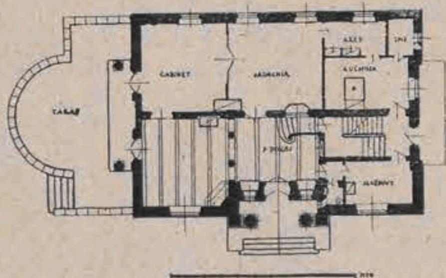
Arch. prof. Oskar Sosnowski, twórca Instytutu Architektury Polskiej — jest autorem domu p. J. Wolffa w Kamieńcu pod Gdynią

Słoneczny dom pp. Rudowskich w Kamiennej Górze zbudowany jest przez architekta warszawskiego — profesora Tadeusza Zielińskiego, prezesa „Koła Architektów"



wpływem angielskim. Wpływ ten objawia się nietyle w formach, ile w duchu architektury i przedewszystkiem w zapatrywaniach na wymagania, stawiane współczesnemu budownictwu.

W ubiegłem stuleciu architekt, budujący dom dla wytwornej Pani, myślał przedewszystkiem o reprezentacyjnej stronie Jej życia i, kierując oczy na czasy Ludwików, projektował wielki pałac, najczęściej niewygodny i nieprzystosowany do życia codziennego. Obecnie dom od „niedziel i świąt" zastępuje wygodny „home" dnia codziennego. Hasła komfortu i celowości,—zaciszności i usłonecznienia,—hasła, importowane z Anglji, dominują we współczesnej architekturze. Odrzuciliśmy pudrowaną perukę francuskiego markiza i—ubrani w prosty czarno-biały smoking—prostotę ubrania łączyć chcemy z prostotą mieszkania.



Planik parteru letniego mieszkania pp. Rudowskich odznacza się szlachetną prostotą i jasnością rozkładu. Zaciszne mieszkalne wnętrze harmonijnie się łączy z otaczającym ogrodem

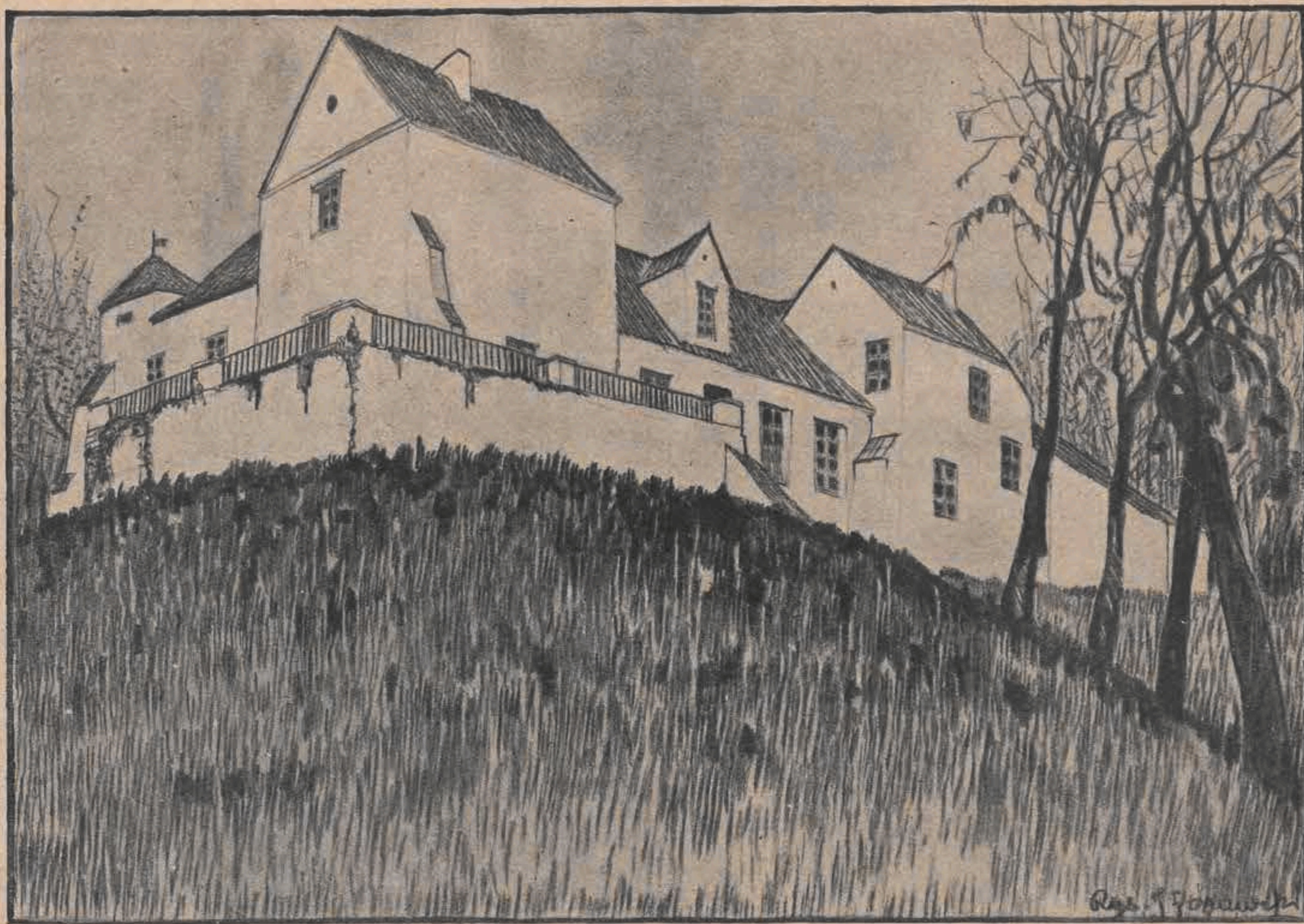
U dołu: Hotel „Cassubia" w Kamieńcu pod Gdynią

Chcemy jednak, by nasze skromne domki były—komfortowe; komfort oznacza w Anglji wygodę, i tylko wygodę; dopiero we Francji nadano mu odcień zbytku; u nas, niestety, nieraz jeszcze pojmowany jest, jako luxus!

Akcentowana cecha wygody wpłynęła przedewszystkiem na zmianę zewnętrznego wyglądu domu. Współczesny, jednorodzinny dom w ogrodzie, nie stara się imponować wielkością lub pretensjonalnością, odrzuca bogactwo ornamentu lub przeładowanie szczegółami, podkreśla natomiast wyszukaną szlachetność proporcji i prostotę kompozycji.

Za czasów francuskich pałacyków części gospodarcze domu wtłaczane bywały do piwnic, byleby zachować zewnętrzny pozór reprezentacyjnego Trianon'u, obecnie rozrastają się one, jako skrzydło dobudowane i przyczyniają się do zaniechania centralnego założenia. Zmiany charakteru niektórych pokoi





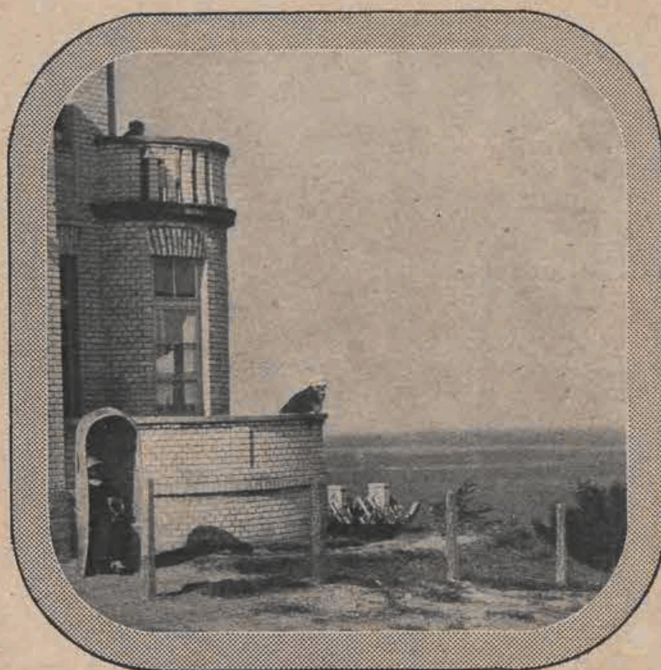
Reprodukcja nasza pokazuje dom pp. Mierosławskich w „Kościelnej Wsi" na Kujawach. Dwór ten, zbudowany przed dwoma laty przez arch. Romualda Gutta, — położony jest na małej wyspie, na której władczo się rozsiadł. Łagodny stok wzgórza wyzyskano, jako ogród. Widzimy tu taras od strony ogrodu. Silna sylweta domu rysuje się malowniczo na szczycie pagórka

wpływają na zmianę rozkładu domu: niema już salonów sypialnych, są tylko sypialne pokoje; usuwając je dyskretnie z honorowego miejsca epoki minionej, gdy to Pani domu leżąc, przyjmowała poranne wizyty, myślimy więcej o tem, by dać im słońce i... sąsiedztwo kąpieli. W architekturze naszej dużą rolę odgrywają współczesne zasady hygieny, nie znane w epoce „złotych gratoirów i młoteczków" Ludwikowskich.

Królujący dawniej, francuski pałacyk niknie, nastaje królestwo angielskiego cottage'u! Le roi est mort, vive le roi.

Francja pierwsza na kontynencie zaadoptowała pomysł cottage'ów; nadała im ona narodowe zabarwienie normandzkie; Niemiec ubrał je w ociężałość swego stylu; my nadajemy im wdzięk założenia dworkowego. Mamy polskie cottage — dworki pod Warszawą, w Tatrach, czy na Pomorzu.

Nad odzyskanem wybrzeżem Bałtyku powstają one licznie. W ciągu ostatnich dwóch lat zbudowano np. w Kamieńcu pod Gdynią przeszło 50 domków pod kierownictwem prez. Gałczyńskiego; w Rozewiu pod Latarnią morską powstaje 40 kilka domków w charakterze kaszubskim, stawianych przez inż. Pawłowicza. Poza domkami prywatnemi stają pensjonaty i hotele dworkowe w Gdyni, w Kamieńcu, na Helu, czy w Jastrzębcu.



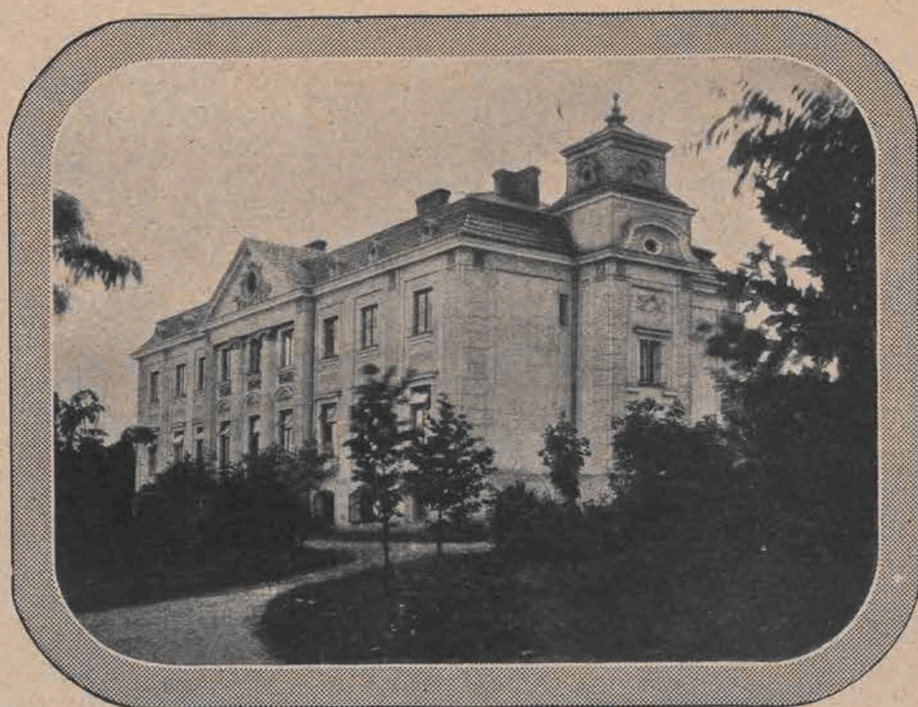
Prawie wszędzie widać troskę i dbałość o stronę architektoniczną powstających domków; prawie wszędzie do budowania wzywa się zdolnych artystów - architektów; dążyć musimy do tego, by wzywano ich bez wyjątku — wszędzie; dążyć musimy do odrodzenia stanowiska Architektury w budownictwie naszem.

A w tej propagandzie Polskiej Architektury pomocną być winna — polska Pani.

JAN KARŻEWSKI

DWÓR W FALĘCICACH

Wielkopański ten dwór jest siedzibą pp. Mysyrowiczów w Falęcicach nad Pilicą. Wspaniały ogród róż — tarasami ku wodzie spływający — czyni z tego dumnego domu zaczarowaną ferję





ANGIELKA I SPORTY

(Dokończenie)





Każda Angielka niemal do siwych włosów uprawiająca sporty, musi posiadać, rzecz prosta, wielką obfitość odpowiednich kostjumów. Lady lubi rozmaitość, zmienia z przyjemnością i wprawą tualetę kilka razy na dzień i — trzeba przyznać jej rację — ubierać się umie!!

A nie jest to rzeczą napozór łatwą ubrać się stosownie do każdego sezonu, do każdej pogody i pory dnia — aby nie razić tła, oraz harmonizować z otoczeniem, barwami i nastrojem danej chwili.

A więc zacznijmy przedewszystkiem od morza.

Morze ze wszystkich stron! Morze na zawołanie i plaże! złociste, czyściutkie, z kolorowemi kabinami i stojącemi na wybrzeżach, jak zabawki — bungolows.

W tych domkach — caceczkach, urządzonych z komfortem, spędza się kilka radosnych tygodni, a lady przygotuje parę jaskrawych kostjumów, najbardziej jednak jest faworyzowany z czarnego jedwabiu (tafty), takiż beret i jak tęcza mieniący się płaszcz kąpielowy.





Każda Angielka doskonale pływa i oddaje się temu sportowi z zamiłowaniem. Z nadejściem więc lata zaczynają się zawody.

Przestrzeń English-Channel, La-Manche (25 klm.) stała się terenem niejednokrotnych popisów i prób. Ostatni rok był pod tym względem szczególnie bogaty w sensacyjne wydarzenia. Kobiety i tu dotrzymują placu. Ubiegłego lata z Dover do Calais wyruszyła młoda i piękna Amerykanka. Lecz, niestety... po kilku godzinach trafiła na silny prąd, musiała zaniechać próby i wsiąść do motorówki, jadącego wślad za nią, wiernego małżonka.

Przez dłuższy przeciąg pięknej pogody króluje naturalnie ukochany tennis, a fascynujące konkursy w sezonie — najczęściej amerykańskie — to atrakcja niezwykła.

Rozpoczynają się o 2 pp., au plein air et au soleil — i trwają aż do zachodu słońca pomimo zmęczenia i niezależnie od pogody. Tylko ulewa zmusić może zacietrzewionych graczy do opuszczenia placów, na mały deszcz nikt zbytniej uwagi nie zwraca.

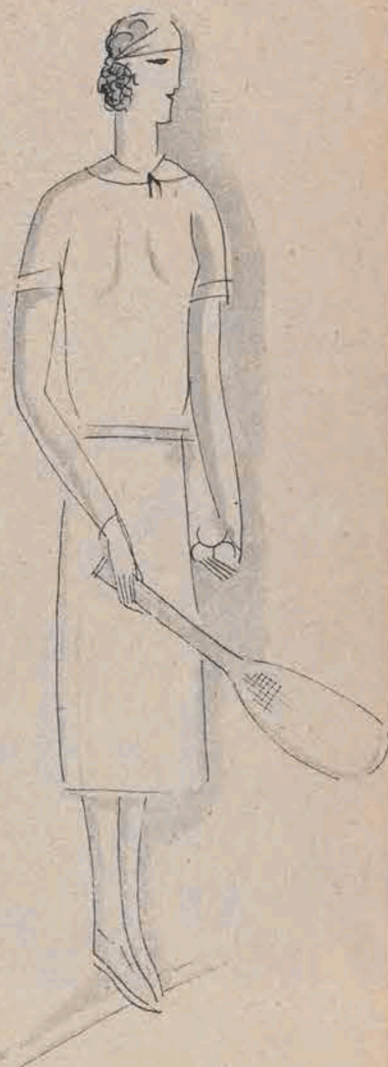
W Egipcie i Indjach game ten uważany jest jako najlepsze lekarstwo przeciw upałom, a nazwiska winners — zwycięzców, doskonale są znane wszędzie, w całej Brytanji.

Na placach tenisowych wszyscy są równie młodzi: i siwowłosi, poważni wojskowi i matki kilkorga dzieci.

Wszyscy w bieli—ladies ubrane krótko; na włosach kolorowe przepaski, a wszędzie jaskrawo odcinające się, o pastelowych kolorach jumper'y, sweater'y i marynarki zawodowych sportsmanów. Nigdy Angielka nie jest chyba tak bardzo pociągającą i sobą, jak właśnie na tle zielonych, strzyżonych trawników, zalanych często słońcem — cała w bieli, zgrabna i wygimnastykowana. A gdy gra po mistrzowsku i ma przeciętnie miły zaróżowiony buziak, oraz włosy puszyste, falujące, o kolorze miedzianym — otoczona jest niekłamanym zachwytem swych ziomków.

Idealnym typem ładnej kobiety dla Anglika jest właśnie wy-





smukła, szeroka w ramionach, o chłopięcej powierzchowności, wygimnastykowana, śmiała dziewczyna, kolega-żona, uprawiająca z nim razem sporty i łatwo znosząca dość niebezpieczne życie w kolonjach.

W dnie upalne, na przestrzeni 1—2 mil angielskich, poprzez rowy, pagórki i krzaki, w brunatnych lub popielatych strojach i mocnych „amerykanach", uprawiają nietylko gentlemanowie, lecz w latach ostatnich i panie — golf. „Golfmanja" zaczyna być modną.

Do golf'a Angielka wkłada najczęściej kostjum z włóczki i tak modne wełniane pończochy „golf" w paski, prążki, kwadraciki. Mały filcowy kapelusik z piórkiem, na szyję szalik „golf" i długie wełniane rękawiczki dopełniają stroju. Jest ciepło, wygodnie i prawdziwie po angielsku.

Młoda i wysmukła Angielka bardzo chętnie ubiera się po... męsku, a więc na polowania i do konnej jazdy. Pyjamas, jak zwykle, są umiłowanym negliżem. Nawet w tennisa te najmłodsze zaczynają grywać w flanelowych spodniach i męskich, sportowych koszulach — co wygląda nieco ekscentrycznie, lecz doprawdy bardzo efektownie.

Młodziutka miss nie śpieszy z zamążpójściem — młodość swą spędza niefrasobliwie i wesoło w domu rodziców. Poza godzinami pracy każdą wolną chwilę poświęca sportom. Od 20 roku życia jest już zupełnie samodzielną. Należy do wszystkich klubów, grywa na rozmaitych konkursach, gra z zamiłowaniem... w totalizatora. Wogóle rozkochaną jest w koniach. Uczy się konnej jazdy w dzieciństwie gdzie tylko może, w późniejszych latach bierze często udział w wyścigach z przeszkodami.

Za najbardziej fascynującą rozrywkę uważa Angielka wyścigi konne, na które pośpieszy niechybnie. A więc najwspanialsze w maju — narodowe *Derby*. Pokaz tualet i teren wprowadzenia nowej mody na wszystko... W czerwcu *Ascot*, a przy końcu lipca *Good-Wood* — w czasie których letnie tualety konkurują z nowościami jesieni.

Pomiędzy Ascot i Good-Wood trwają w Londynie słynne wyprzedaże, Sales, ściągające miljony kobiet z całej Anglji, a nawet kontynentu. Wszystko idzie za pół ceny, gdyż letni sezon właściwie się kończy.

Po Good-Wood Londyn zamiera. Cały dwór, arystokracja, sfery urzędnicze, kto tylko może opuszcza zakurzoną, męczącą stolicę i pośpiesza na regaty jachtów, które się rozpoczynają w pierwszych dniach sierpnia w miasteczku — Cowes.





Angielka rzadko która włada obcym językiem, jak również, lubiąc muzykę — rzadko kiedy grać umie, tłumaczy się brakiem czasu, — każdą wolną godzinę woli spędzić na powietrzu, nie ślęczyć nad książką i nutami. To też z niemałem podziwem spoziera na cudzoziemki, a szczególnie słowianki, które władają 3—4 językami i każda prawie rozmiłowaną jest w muzyce i śpiewie. Tak samo przeciętnie inteligentna lady prawie wcale nie interesuje się sztuką. Wszystko się u niej zaczyna i kończy na sportach. Cudzoziemki czasem aż denerwuje ta wielka jednostronność.

O nas, Polakach, wśród Anglików panuje dość pochlebne zdanie: że wszyscy jesteśmy przeciętnie uzdolnieni, muzykalni, pełni nieokiełznanej fantazji, o artystycznych aspiracjach, a „polish ladies, the mast interesting women in the world" — a Polki to najciekawsze kobiety na świecie!.. tylko tak mało interesują się sportem. To tylko...

Lecz kiedy dojdziemy w końcu do życia bardziej na modłę europejską skrojonego, kiedy i u nas przynajmniej najpopularniejsze sporty staną się chlebem powszednim, napewno damy sobie radę z rozmaitemi game'ami i dotrzymamy placu wszystkim Anglikom, Amerykanom, Francuzom, nie zaniedbując jednak i innych swych aspiracyj.

HANNA SKARBEK

Misterjum



Photo-Rahma

MODEL FIRMY REY, PARYŻ

Suknia z crêpe de chine'u w kratę z malowanym szlakiem

Jeśliby pani chciała wierzyć wróżbitom, astrologom, telepatom, i t. p. uduchowionym jasnowidzom, których rozstrzygającym wskazówkom zazwyczaj poddaje swój i swoich najbliższych los — to nie powinnaby się w tym roku ruszyć ani na krok z domu. Albowiem katastrofy kolejowe, automobilowe, okrętowe i areoplanowe mają właśnie w okresie wyjazdów wakacyjnych rozpocząć istną orgję. I kto wie, czy nawet podmiejskie Milanówki, Radości i tym podobne Wołominy nie są również objęte sferą kataklizmów.

Ale pani, jak świadczy tłok w biurach paszportowych, nie jest nic a nic bojaźliwa i, pakując swoje wiotkie sukienczęta do walizek, wyśmiewa w głębi duszy owe straszaki astrologiczne. I proszę niech tu kto zaprzeczy, że panie nie potrafią się zdobyć na gest bohatersko-lekceważący, gest, który taką chwałą okrył wielkiego Cezara, gdy ten, mimo fatalnych idów marcowych, szedł odważnie naprzeciw Brutusowemu zamachowi.

...Cezar zarzucił na twarz białą togę „pretexta"...

Widzi ten obraz pani tak plastycznie, że drży jej ręka, gdy wkłada do kufra swój biały kostjum, również zdobny, jak toga Cezara, w kolorowy szlak.

Lecz zajęta żmudnem układaniem plisowanych sukien, pelerynek (również plisowanych), zajęta słuszną troską, czy aby nie zgniotą się haniebnie te drogocenne śliczności — zapomni wkrótce o Cezarze, „Titanicu", a nawet Belinzonie i niepodzielnie odda się już misterjom pakowania. Idąc w ślady mędrca, który „omnia sua secum portat", i nasza pani zabierze ze sobą wszystko, co posiada.

Więc multum lekkich sukien, przyczem do każdej przynależną parasolkę, pantofle pod kolor i kapelusz (pod kolor i „pod fason").

Dalej — kostjumy jasne i ciemne, z wełny i jedwabiu, skromne i haftem przesuto kryte. Dalej — płaszcze, półpłaszcze, kepy i pelerynki, bluzki i dżempry bajecznie kolorowe, żakieciki noszone na zmianę do plisowanych spódnic. Dalej—roby wieczorowe, dancingowe, wizytowe.

Ale mimo, że sukien i wszelakich dodatków do nich jest, zaiste, bez liku, miejsca nie zajmą one wiele. Moda jest bowiem tego lata, w przewidywaniu słusznem upałów, i kusa i zasadniczo gardząca rękawami, więc oszczędna w materjale.

A ktoby tak zajrzał do kufra (z pewnością uczynią to wścibscy urzędnicy przy rewizjach celnych), ten ucieszyłby się przecudną grą barw tych gałganków. Możnaby zawartość kufra przyrównać do bukietu, w którym obok naszych kwiatów polnych są i najbardziej egzotyczne, cieplarniane okazy flory. Bo, czyż te z prawdziwą pasją wzorkowane



Kostjum z białej wełny; suknia i podszewka długiego żakietu wyhaftowana w czerwoną kratę



Fot. Studio-Rahma

KAPELUSZ FIRMY AGNÈS, PARYŻ

Mały cloche z tafty haftowanej — główka naszyta torsadą ze słomy picot

pakowania

crepy (marocain, de chine i t. d) nie przypominają liści begonji i kwiatów storczyka? Iluzja będzie tem prawdopodobniejsza, że z czeluści kufra „buchnie" zapach perfum i tajemniczych saszet.

Tak więc kwietna i woniejąca zawartość bagażu powędruje zą panią posłusznie w świat. Nie dziwiłby się już dziś Płoszowski „że kwiaty pod (jej) stopami nie rosną", gdyż umieściła je, jakumiała najlepiej, w walizach. Proszę tylko zajrzeć dyskretnie do tego dużego sześcianu — recte pudła na kapelusze! Czy i tam nie znajdzie sią prawdziwy klomb (nie kłąb!), któremu barwnych efektów pozazdrościłby niejeden mistrz ogrodnictwa? Na samem dnie, na środku duży kapelin wizytowy rozsiadł się, jak olbrzymia agawa na środku gazonu, a wokół niby wianek lobelji, stokrotek, lub bratków — małe, czubate, albo wygłaskane kapelusiki z lśniącej słomki, haftowane, lub z filcu.

A teraz, kiedy już pani wraz z całym sztabem domowym dokonała ceremońjału pakowania, kiedy już woreczki, pończochy, „apaszki", rękawiczki i t. d. wciśnięte zostały w luźne kąty kufra, kiedy radośnie trzasnęły zamki, a w neseserze podróżnym spoczęły dźwięczące małe, niklowane kluczyki — pani zaczyna się stroić do podróży.

Jest w tym akcie nieomal takie nabożeństwo, jak w przystrajaniu się do ślubu. Bo dla wyjeżdżającej pani, taksamo jak dla idącej za mąż, otwiera się nowy, nieznany świat wrażeń.



Photo-Rahma

MODEL FIRMY REY, PARYŻ

Suknia z czarnego crêpe de chine'u; narzucenie białe haftowane czarnym dżetem

Czeka ją przecież coś, co się wprawdzie bardzo skromnie nazywa „przygodą", a jest naprawdę treścią tych paru miodowych miesięcy spędzanych poza domem. Pani więc, jak ongiś rycerz, wybiera się na awantury (niekoniecznie „arabskie"), których jednak niestety żaden bard nie ujął jeszcze potąd w rymy wiecznotrwałe.

Ale, ale... o stroju podróżnym miał tu być przecież opis rzeczowy, a tymczasem czynię niedyskretne aluzje do tego o czem nie powinni wiedzieć ani mężowie ani przyjaciele, którzy w słomianem osamotnieniu pozostaną w kraju.

Otóż — pani ubiera się na drogę w kostjum angielski, albo tak modny w tym roku „w kratkę", do tego bluzka angielska z białego lub barwnego krepdeszynu, mały kapelusik, „apaszka" na szyi, pantofle brązowe i tegoż koloru pończochy jedwabne (niezbyt cienkie). Ponadto, w podręcznym neseserze na samym wierzchu konieczna w sleepingu — pyjama.

Ostatni sygnał — chusteczki powiewają — pociąg rusza...

Do widzenia najmilsza pani — nad morzem, w górach, w badzie!

NINA



Photo-Rahma

KAPELUSZ FIRMY HÉLÈNE, PARYŻ

Cylinderek ze słomy picot ubrany wstążką double-face



Sportowy kostjum: spódnica w pasy; gładki saczek; kołnierz przybrany wełną w pasy



Suknia z białego crèpe marocain haftowana w różnobarwne kwiaty

Suknia z popielatego crèpe romain plisowana i przybrana czerwonemi guziczkami, depassant z crèpe romain czerwonej

Suknia z czarnego crèpe de chine'u haftowana białemi koralikami i przybrana białą organdiną

MODELE GUSTAWA ZMIGRYDERA



Suknia z czerwonej crèpe marocain z plisowaną pelerynką

Wąska tunika koloru vert amande, haftowana w różnobarwne wzory

Biała plisowana suknia z crèpe de chine'u

Wełniana biała suknia, haftowana kolorem bleu à pastel

MODELE FIRMY „LUCYNA"

HIPIKA UTO DERBYTADY

— Hallo —
— Czy zastałem Panią?
— Jestem przy telefonie —
— Tutaj pułkownik Rómmel, chciałem zakomunikować „Pani", że wyjeżdzamy jutro na konkursy hippiczne do Nizzy. Czy nie wybrałaby się „Pani" z nami?

„Pani" jest uszczęśliwiona, do Nizzy wybierze się naturalnie, jest ogromnie wdzięczna panu pułkownikowi za pamięć...

— Tylko zastrzegam sobie zupełne posłuszeństwo, gdyż jako kierownik odpowiadam za całość grupy — dorzuca pułkownik.

„Pani" obiecuje, że będzie grzeczna, każda bowiem pani jest grzeczna, jak ma jechać do Nizzy, pokazuje różki dopiero na miejscu.

Zaczyna się tedy pokowanie na gwałt. Więc naprzód flakonik „Ce que la femme veux", później „Paris", ołówek do brwi, pomadka na krwawość warg, koronki, jedwabie, obłoczki batystów i wiele, wiele innych rzeczy, które służą do umilenia życia „Pani" i do zatruwania spokoju jej małżonkowi.

Droga do Nizzy upływa „Pani" roskosznie, wygodny sleeping niesie ją jak kołyska, a rankiem, skoro świt, na jakiejś większej stacji „Pani" idzie się przywitać z „Jaśkiem" i z „Pikadorem", chlubą koni polskich.

Nizza... szczyt marzeń każdej szanującej się niewiasty polskiej, malowniczo rozrzucona nad brzegiem morza, skąpana w blaskach południowego słońca, wita entuzjastycznie drużynę polską, która przyjechała walczyć o palmę pierwszeństwa dla swej kawalerji.

Honor armji polskiej spoczywa na barkach kilku dzielnych oficerów.

Pani jest cokolwiek oszołomiona, ale robi co może, aby godnie reprezentować „une femme polonaise".

— Doprawdy, okropność z temi zaproszeniami, skarży się Pani swym towarzyszom, nie mogę poprostu wydążyć być wszędzie. Przytem okazuje się, że Pani zapomniała zabrać ze sobą najpotrzebniejszych rzeczy, które trzeba kupować na miejscu, a wszystko przez ten pośpiech.

Nareszcie przychodzi dzień konkursów. „Pani", przybrana w kostjum sportowy, zjawia się w loży, tuż obok królowej rumuńskiej i zaczyna się emocjonować.

Pierwszy wyjeżdża na przeszkody Francuz; bierze jedną po drugiej, wreszcie na drążku umieszczonym na środku placu wznosi się w górę trójbarwna flaga francuska. Tłum szaleje. Niemilknące brawa trwają przez długą chwilę. Po chwili na torze zjawia się porucznik Królikiewicz na swoim „Jaśku". „Pani" drży cała z emocji. Weźmie, czy, nie weźmie — mówi sobie w duszy, tak troszkę jak Hamlet i czeka. Skończył... tłum zamarł w oczekiwaniu... coś tam majdrują koło słupa... flaga francuska spada... Barwy polskie załopotały na wietrze!

Entuzjazm niesłychany. „Vive les braves Polonais", „Eviva Polacco" — krzyżują się w powietrzu okrzyki.

Teraz przychodzi moment najcięższy. „Pani" śledzi z zapartym odechem sześćdziesięciu kilku jeźdźców, którzy napróżno starają się strącić flagę polską. Wreszcie ostatni, Włoch, jeden z najniebezpieczniejszych konkurentów, — i ten „nie dał rady". „Pani" ślicznie wymanicurowanym paluszkiem ociera łzę wzruszenia (chusteczkę koronkową podarła z emocji) i, zapominając o najelementarniejszych prawach „savoir vivre'u", rzuca się bohaterowi dnia na szyję.

Wieczorem „Pani", przybrana w ostatnią kreację warszawską, bije wdziękiem i urodą „upaquin'owane" paryżanki i odnosi nowy polski sukces: czaru i wykwintu.

Po zakończeniu dorocznych konkursów w Nizzy i paśmie zwycięstw polskich, „Pani" wraca do kraju syta wrażeń, obładowana fotografjami, pismami francuskiemi, szwedzkiemi i włoskiemi, które z niebywałym entuzjazmem opisują zręczność i odwagę „de ces braves Polonais", którzy sławni swą „kawalerską fantazją" dzierżą prym już od czasów „małego kaprala" wśród kawalleryj świata.

***

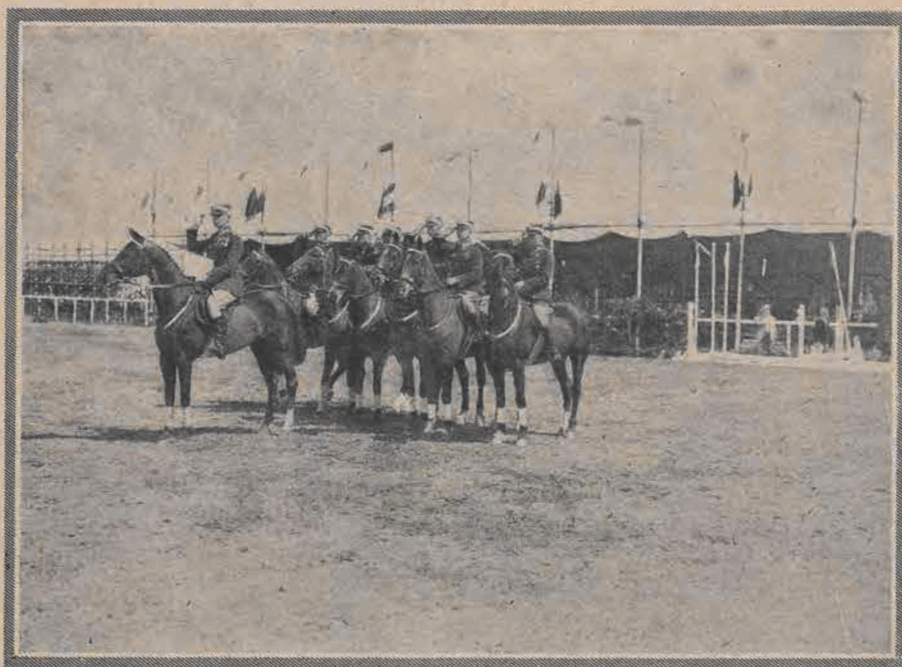
Po przyjeździe do Warszawy Pani natu-



Królowa Marja rumuńska i duc of Conaught podczas konkursów w Nicei

ralnie musi odwiedzić „dancing" w „Europie", aby tam wszystkim swym przyjaciółkom (niech popękają z zazdrości) opowiedzieć o sukcesach nicejskich.

Pani w „Europie" jest formalnie rozchwytywana, aż wreszcie natyka się na p. Pawła Bitschana, który, jako komandor „II międzynarodowych wyścigów automobilowych", jak się rekomenduje Pani, z wrodzoną sobie swadą namawia ją na wyjazd do Poznania, ofiarowując miejsce w automobilu.



Equipa polska na koniach

Pani, przekonana łatwo o konieczności popierania sportu w Polsce, siada w automobil i jedzie...

W zawrotnym pędzie przesuwają się przed oczyma Pani Łowicz, Łódź, Kalisz i wreszcie Poznań, kres podróży.

Następnego dnia już od rana w Poznaniu ruch. Samochody biegną tam i z powrotem, na wszystkie strony słychać sygnały. P. Bitschan wydaje ostatnie rozporządzenia... początek wyścigów.

Na torze barwna okładka... przepraszam, suknia Pani — dzieło grona (ale nie Tadeusza) dziewic, które pracowicie ją specjalnie na tę uroczystość wykonały — wzbudza ogromne zainteresowanie. Poznań wogóle „ach zaś takie coś" jeszcze nie widział. Poznanianki zazdrośnie porównywują maleńką nóżkę Warszawianki ze swoją podstawą cielesną, na której „snadnie byś monument wystawił, a nie białogłowę", jak mawiał p. Zagłoba.

Dzień osiemnasty maja jest wielkim dniem sportu automobilowego w Polsce, nie dziw też, że Pani z ogromnem zainteresowaniem i zdenerwowaniem przygląda się niebezpiecznym próbom szybkości.

Dzień jednak św. Feliksa nie przyniósł mimo to szczęścia polskim sportsmenom, z których aż dziesięciu zmuszonych zostało z powodu różnych defektów motoru, a jeden nawet skutkiem strasznego wypadku, wycofać się z konkursu.

Pani podziwia niebywałą odwagę i spokój prawdziwego mistrza jazdy na motocyklu p. Gunscha, który na swojej „Indianie" big-chief osiąga śliczny czas. Wśród voiturettek turystycznych na pierwsze miejsce wybija się Mathis pod wprawnem kierownictwem p. Czarneckiego, który, oprócz trzech wspaniałych nagród: Komisji sportowej A. P. za największą szybkość dnia, Hr. Raczyńskiego za spełnienie tego samego warunku, puharu wędrownego pana Bitchana, zdobywa najpiękniejszą na grodę — uśmiech i powłóczyste spojrzenie Pani.

W drodze powrotnej do Warszawy Pani zamęcza jednego z najlepszych kierowców polskich, inżyniera Liefeldta, aby ją nauczył sztuki kierowania samochodem. Pani jest tak rozentuzjazmowana, że na zbliżający się raid samochodowy ustanawia nagrodę dla „najdzielniejszej z uczestniczek raidu"

***

W stolicy oczekuje Panią nowa emocja sportowa — wielkie święto sportu końskiego — na torze mokotowskim „Derby" i „Nagroda Prezydenta Rzeczypospolitej". A zresztą w programie figuruje Ryś, przecież ten ostatni „on" miał właśnie tak na imię.

Wrodzony sentyment polski do konia i kobiecy do „Niego" każe Pani przywdziać szaty godowe i zjawić się „en plein éclat de beauté" na torze wyścigowym.

Ukazanie się w loży wyścigowej Pani, przybranej w „ostatni krzyk" mody, wywołuje sensację niemałą.



Uczestnicy reprezentacji Polski w Nicei

Pani wędruje po całym torze tu i tam, zlekka kokietując gentlemanów, przybranych, jak każe tradycja, w żakiety i cylindry i z miną głębokiego znawcy przygląda się rasowym, ślicznym koniom, niespokojnie stąpającym po paddocku.

Oto „Derby"! Pani dostaje ceglastych wypieków, szczęście, że wszyscy zajęci torem nie mogą tego zauważyć!

„Berson, Berson!" ryczy ktoś nad uszkiem Pani. Jakoż Berson z miejsca

do miejsca wygrywa Derby.

Zbliża się bieg „Prezydenta". Muzyka wojskowa męczy odwieczne „Tango du rêve", a Pani, wierna Rysiowi—rzuca wspaniałym gestem tysiąc złotych w paszczę totalizatora.

Bieg się rozpoczyna. Pani, przewieszona przez siatkę, niepomna na dostojeństwo, ni reprezentację, w kapelusiku zsuniętym na tył głowy (coby na to powiedziała Mme Henriette?) stara się podniecić swego faworyta gromkiemi okrzykami. „Ryś, Ryś" — woła Pani. A Ryś pędzi i zwycięża. Zupełnie właśnie tak, jak „On".



Fot. St. Majcherski

Jury wyścigów automobilowych w Poznaniu

***

Wychodząc z wyścigów, na schodkach trybuny zauważyłem słaniającą się jakąś postać. Zdjęty ciekawością podszedłem. To była — Pani. Co się stało? Pani wygrała 2500 złotych na Rysia. Oddawszy pokłon triumfatorce — odszedłem w milczeniu rozumiejąc duszę kobiecą. Pani bowiem traci przytomność tylko w dwóch wypadkach — kiedy wygra 2500 złotych — lub kiedy nie wygra 2500 złotych.

Jedyną nadzieją reprezentacji polskiej na olimpjadę stanowi „equipa" konna, która ma największe szanse powodzenia.



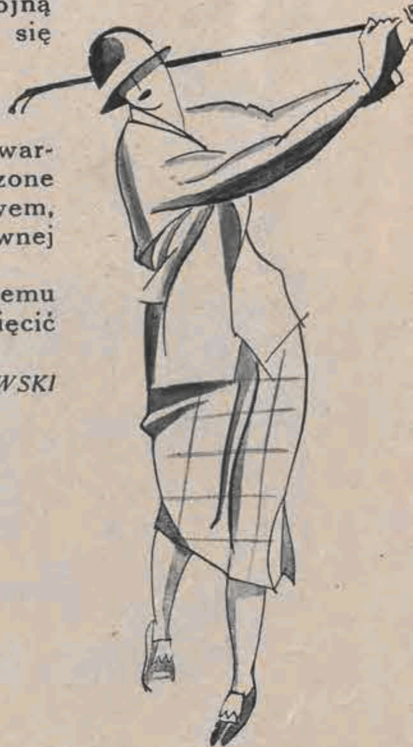
Jedynym groźnym przeciwnikiem, jako jeźdźcy, są dla Polaków — Włosi i jeżeli nie zajmiemy pierwszego miejsca w sporcie końskim, będzie to winą tylko niezbyt dobrych koni. Miejmy nadzieję jednak, że jeźdzcy polscy, o których prasa francuska i szwedzka po zawodach w Nizzy pisała hymny pochwalne, peany na cześć ich bajecznego stylu w jeździe, nie zawiodą naszych oczekiwań i przywiozą wieniec laurowy z Paryża.

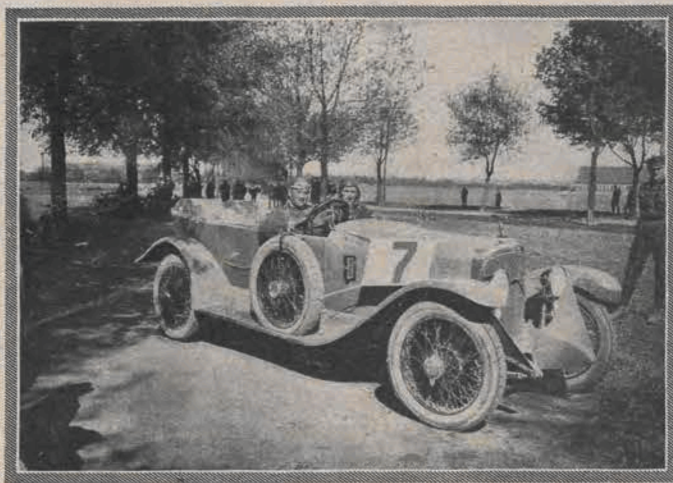
Podkreślić wszakże wypada, że sport koński w Polsce, sławny przed wojną na świat cały, znajduje się obecnie w bardzo ciężkich warunkach.

Konkursy hippiczne, o których nawet przeciętny warszawiak nie wie, umieszczone kątem na polu wyścigowem, nie mają nic ze swej dawnej świetności.

Czy nie należałoby temu pięknemu sportowi poświęcić więcej uwagi?

J. ORŁOWSKI





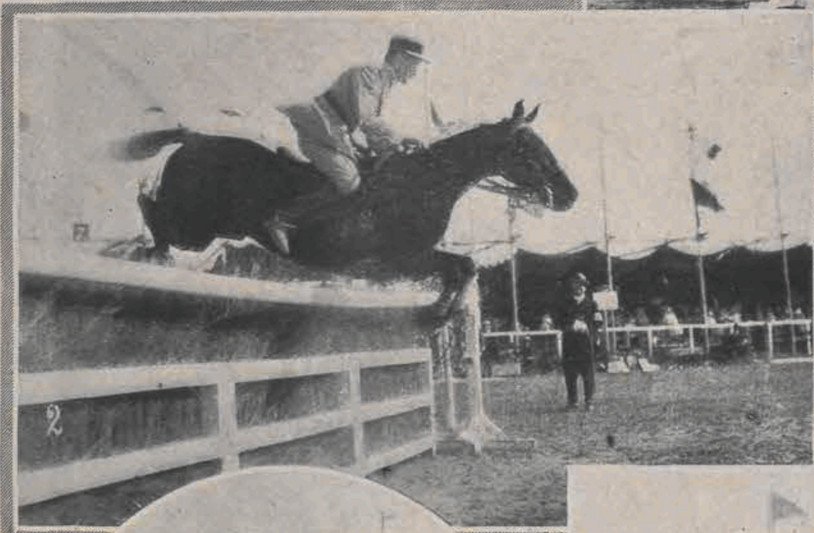
Fot. St. Majcherski

P. Winnicki na Itali



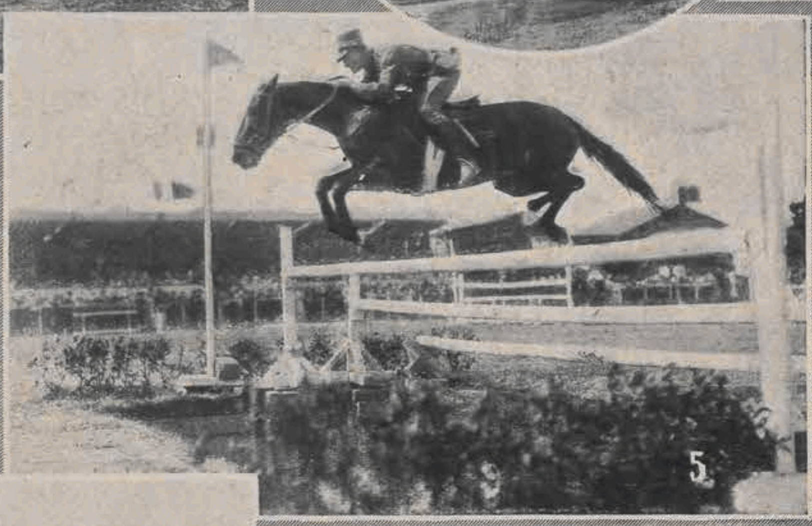
KONKURSY HIPPICZNE W NICEI


1


2


3

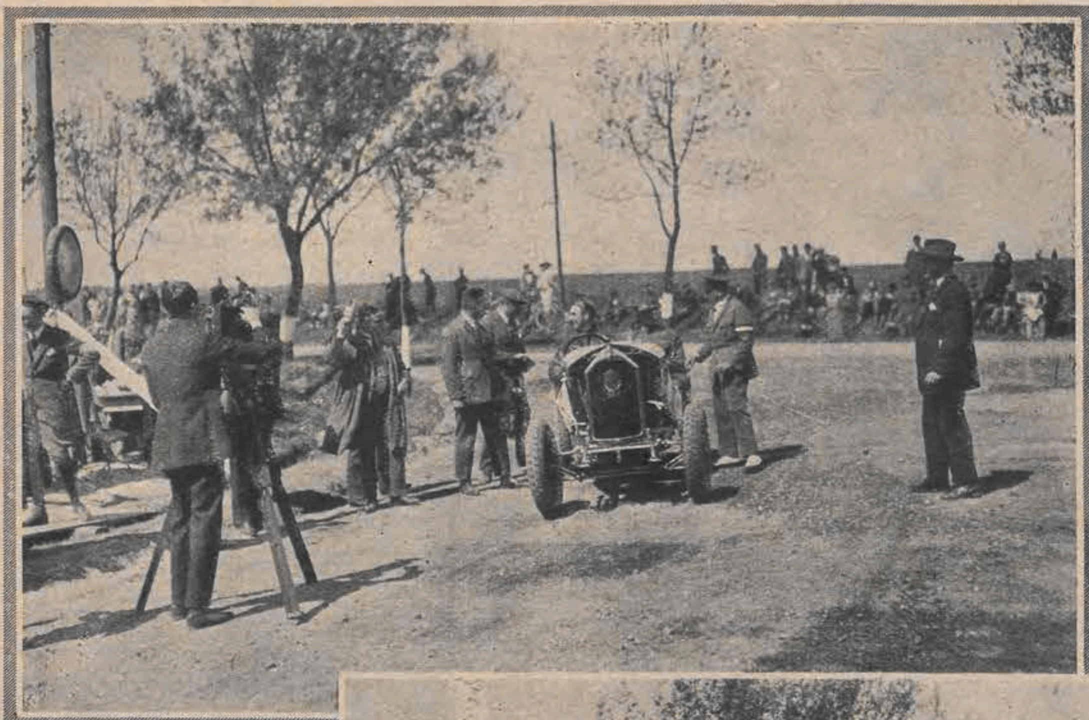

4


5


6

1) por. Królikiewicz na Orkanie
2) lieut. Claré na Sans Doute
3) cap. Borsauler na Nacuto
4) por. Królikiewicz na Pikadorze
5) lieut. Schuber na Enaudole
6) płk. Rómmel na Mumm Extra Dry

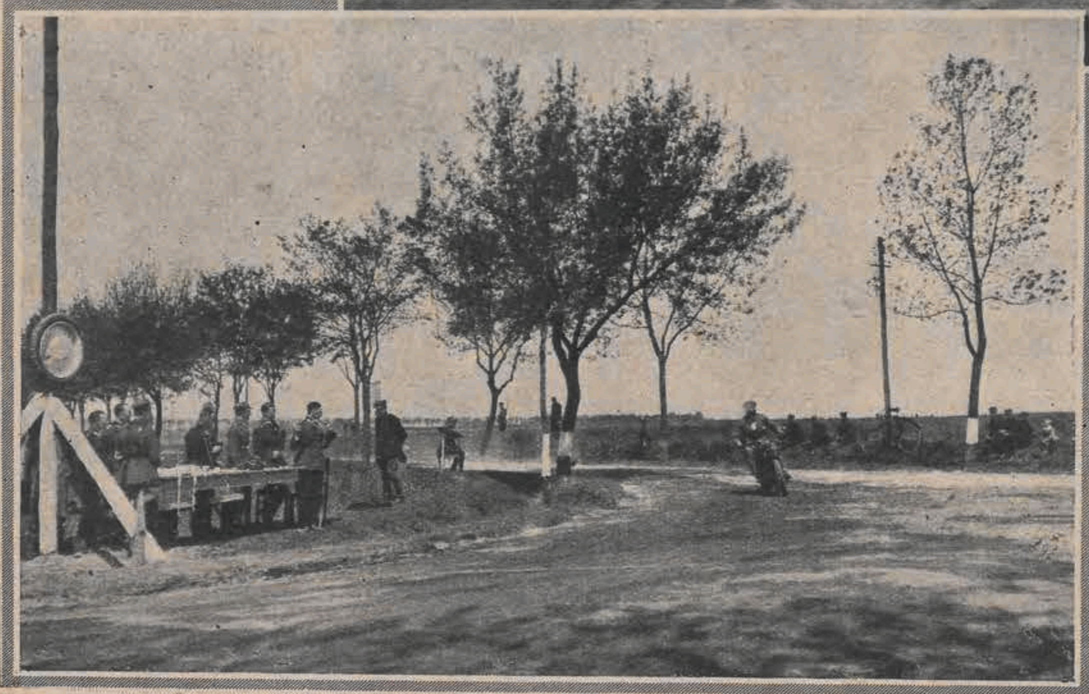
DRUGIE WYŚCIGI AUTOMOBILOWE W POZNANIU



Zwycięski Mathis



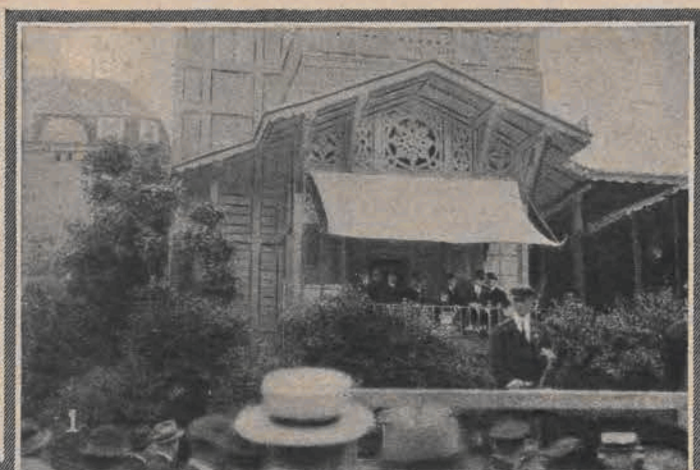
Start Motocykli



p. Robert Gunsch na wirażu

Fot. Z. Majcherski

DERBY I NAGRODA IM. PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ NA POLU MOKOTOWSKIEM W WARSZAWIE













1) Loża Prezydenta Rzplitej
2) Z paddocku na tor
3) Od wagi
4) Konie przed trybunami
5) Zwycięski Ryś
6) Na „deptaku"

Fot. Z. Majcherski

RYTM

WYSTAWA W SALONIE CZ. GARLIŃSKIEGO

Rytm uchodzi zazwyczaj za ugrupowanie artystyczne, reprezentujące bardziej skrajne kierunki sztuki współczesnej. Opinja ta nie jest jednak całkowicie słuszna. W skład zrzeszenia tego wchodzą coprawda artyści o charakterze radykalnie formistycznym, jak naprzykład Witkowski, obok nich jednakże spotykamy przedstawicieli bardzo spokojnego, akademickiego klasycyzmu, takich, jak Ślendziński, lub reprezentantów tak zwanego post-ekspresjonizmu, do których należy zaliczyć Kramsztyka, a po części również Wąsowicza.

Sądzę, że charakter ugrupowania tego da się określić nierównie ściślej, jeżeli nazwiemy „Rytm" zrzeszeniem artystów, wychowanych na wzorach francuskiej kultury artystycznej. Dlatego to tak zwany ekspresjonizm, powstały na gruncie niemieckim, znajduje w „Rytmie" słaby bardzo oddźwięk, zarówno jak i włoski futuryzm; dlatego również na wszystkich różnorodnych indywidualnościach tego ugrupowania znać tak wyraźne piętno klasycyzmu, stanowiącego od wieków cechę znamienną logicznej i jasnej sztuki francuskiej. Podobnie, jak swego czasu „Sztuka" krakowska, łączy „Rytm" rodzime tradycje artystyczne z francuską kulturą; a połączenie to, które tyle już razy wydało najszczęśliwsze pod względem artystycznym rezultaty, i tutaj również nadaje ugrupowaniu wspólną cechę wysokiego poziomu i wytworności. Poza tą cechą ogólną łączą się w „Rytmie" i spotykają indywidualności artystyczne tak różnorodne, że trudno jest, mówiąc o wystawie, mówić o jednolitym jakimś kierunku, czy doktrynie.



WŁADYSŁAW SKOCZYLAS WARSZAWA 1920

Pragnąłbym w kilku słowach scharakteryzować te tak odmienne, a jednak spokrewnione ze sobą zjawiska artystyczne, unikając zresztą wskazywania wad ich lub zalet w obawie, że stosunek koleżeński, łączący mnie z grupą „Rytmu", przeszkodzićby mi mógł do zachowania niezbędnej bezstronności.

Klasycyzm, ku któremu tak wyraźnie dąży sztuka w obecnem stadjum swego rozwoju, reprezentowany jest na wystawie przez *Borowskiego* i *Kunę*. U Borowskiego łączy się on z dążnością do harmonijnej, bardzo zrównoważonej i bardzo dekoracyjnej kompozycji brył i kolorów, chwilami zlekka przypominając spokojną i jasną twórczość Poussina. Kuna w nieposzlakowanej czystości sylwety i w uproszczeniu form opiera się raczej na sztuce antycznej V wieku przed Chr., z klasycznym tym spokojem łącząc dyskretną, wstydliwą jakby uczuciowość.



WACŁAW HUSARSKI KĄPIĄCE SIĘ KOBIETY

Klasycznym bez zastrzeżeń jest *Ślendziński*,



LUDOMIR ŚLENDZIŃSKI *PORTRET*



TYMON NIESIOŁOWSKI *CHŁOPIEC Z HARMONJĄ*

posługujący się dokładną linją, spokojną plamą barwną i surowo-symetryczną kompozycją w sposób, przypominający włoskie Quattrocento.

Dużo cech klasycznych posiada również sztuka *Skoczylasa*, duchowo zbliżona do wczesnego odrodzenia, której jednak odrębne piętno nadaje rozmiłowanie się w polskich legendach i polskich prymitywach, oraz charakterystyczny realizm, szczęśliwie związany z bardzo wybitnem poczuciem kompozycji.

Realizm w połączeniu z dyskretną stylizacją form i swobodą faktury znajdujemy również u *Roguskiego*; w litografjach *Kamińskiego* przybiera on cechy architektonicznej ścisłości.

Silne zaznaczenie pierwiastka realistycznego znamionuje dalej sztukę *Wąsowicza*. Stanowi on w niej



ROMAN KRAMSZTYK *MARTWA NATURA*



STANISŁAW RZECKI *LUZAK*



T. PRUSZKOWSKI DZIEWCZYNA ZE SKRZYPCAMI



EUGENJUSZ ŻAK WRÓŻKA

trwały fundament, na którym opiera artysta poważne poszukiwania kompozycyjne, oraz stylizację barwy i formy, zbliżoną do sztuki post-impresjonistów.

Dalej jeszcze w kierunku realizmu idzie *Kramsztyk*, usiłujący osiągnąć maximum równowagi kompozycyjnej przy jednoczesnej ścisłości w oddaniu bryły i formy, zwłaszcza zaś dotykalnego niejako charakteru materji.

W obrazach *Żaka* wielka umiejętność posługiwania się plamą barwną łączy się z reminiscencjami Picassa, a potrosze również niemieckich ekspresjonistów.

Niesiołowski Tymon, prostszy w użyciu plamy, osiąga wyraz za pomocą przyćmionych zestawień barwnych i surowej sylwety.



WACŁAW WĄSOWICZ HUCULI W DRODZE



WŁADYSŁAW ROGUSKI PRZY OGNISKU



WACŁAW BOROWSKI PRZED WIECZOREM



IRENA POKRZYWNICKA AWANTURNICZA TRÓJKA

Rzecki skłania się coraz bardziej ku malarstwu, w którem zastosowanie znajdują przyrodzone niejako właściwości techniki olejnej, z jej głębokim tonem i gęstą płynnością materjału. Z tych założeń wychodząc, osiąga artysta efekt, zbliżony do sztuki barokowej. Ten dokonywujący się zwolna zwrot ku barokowi jest jedną z cech znamiennych współczesnego malarstwa.

Wyczucie właściwości malarstwa olejnego i pewien zwrot ku barokowi znajdujemy również u *Pruszkowskiego*, który zresztą na obecnej wystawie wystąpił zbyt skromnie pod względem ilościowym.

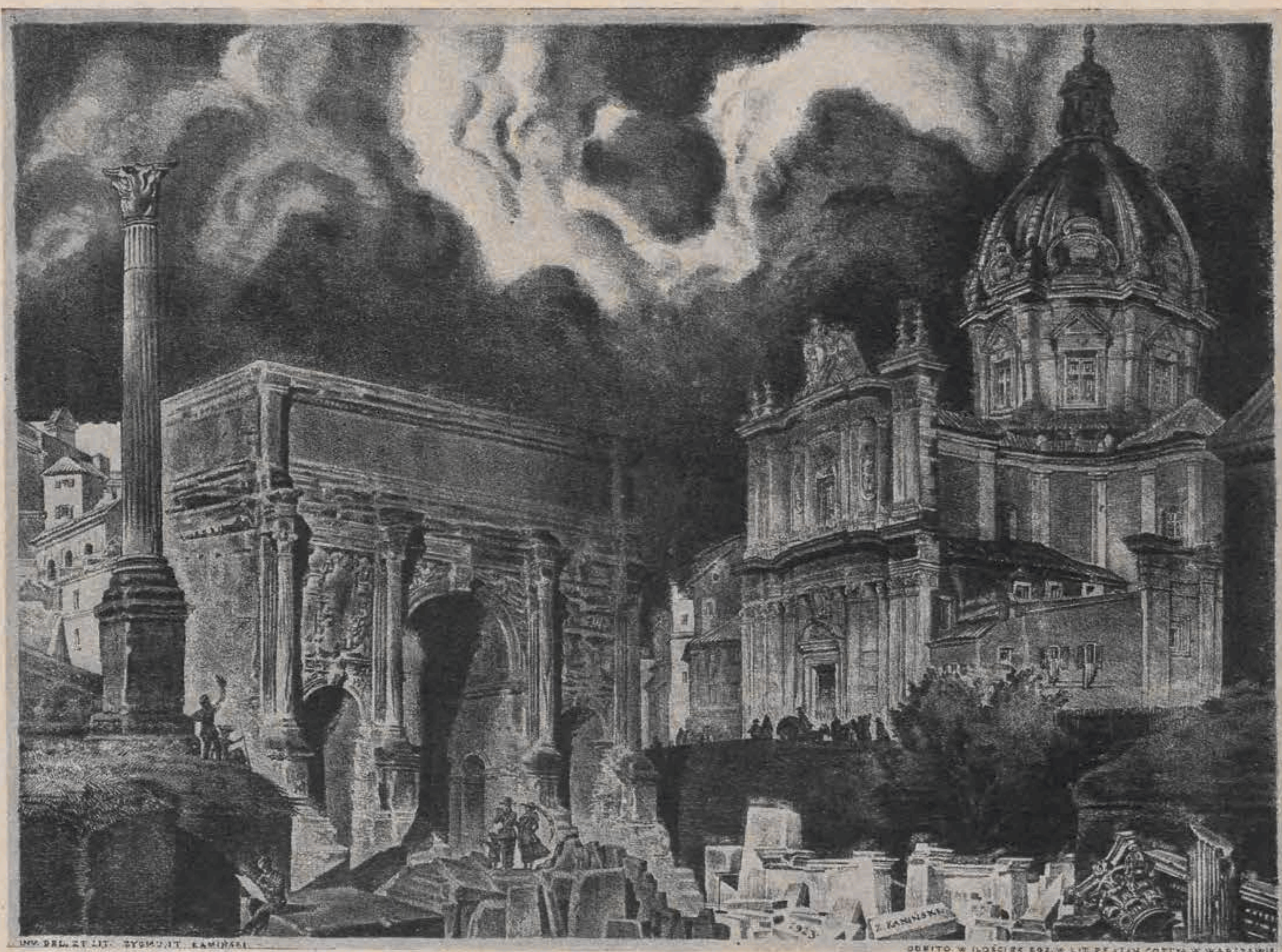
Obie panie, biorące udział w wystawie, dały rzeczy o charakterze dekoracyjno-ilustratorskim. Wytworna kompozycja *Pokrzywnickiej*, oraz wartości kolorystyczne i dekoracyjne jej prac każą żałować, że artystka ogranicza się ciągle do rzeczy tak skromnych rozmiarami.

Również *Berezowska*, ze swem swoistem zacięciem groteskowo-humorystycznem, zdaje się posiadać sporo niewyzyskanych jeszcze możliwości.



MARJA BEREZOWSKA TARANT

Taka jest króciutka charakterystyka poszczególnych artystów, biorących udział w wystawie „Rytmu". Rozległa skala ich poszukiwań i dążności, rozciągająca się od akademickiego niemal klasycyzmu aż do żywego, malarskiego nawskroś postimpresjonizmu, jest wyraźnym dowodem braku wszelkiego doktrynerstwa w łonie ugru-



ZYGMUNT KAMIŃSKI FORUM

powania. Gdybyśmy chcieli doszukiwać się bliższej łączności ideowej pomiędzy członkami zrzeszenia, to, poza wyżej zaznaczonem pokrewieństwem z kulturą artystyczną Francji, moglibyśmy wskazać tylko na wybitną równowagę i dojrzałość, znamionującą artystów, którzy wiele widzieli i wiele przemyśleli i którzy z rozważań tych wynieśli koncepcję artystyczną jasną, skrystalizowaną i pozbawioną cech przypadkowości.

Koncepcja ta jest zresztą właściwa całej sztuce współczesnej w istotnem zrozumieniu tego wyrazu.

Stanowi ona naturalną reakcję po okresie impresjonizmu, który, opierając się na bezpośredniem wrażeniu natury, uzależniony był tem samem całkowicie od przypadkowości odtwarzanego motywu i który, dążąc do przezwyciężenia rutyny akademickiej, zbyt może bezwzględnie odwrócił się od wielkich wzorów przeszłości*).

WACŁAW HUSARSKI



HENRYK KUNA ATALANTA

*) P. Husarski z łatwo zrozumiałych powodów pominął milczeniem swój udział w wystawie „Rytmu". Uważamy sobie za obowiązek dodać tutaj kilka słów o jego pracach, w których poczucie realistyczne łączy się z subtelną stylizacją formy i z niezawodzącą harmonją kompozycji.

(Przyp. Red.).

REFLEKSJE PRZECIĘTNEGO SŁUCHACZA PODCZAS KONCERTU SZYMANOWSKIEGO



Wielka sala Filharmonji warszawskiej narzuca uroczysty nastrój koncertowo odzianemu i przyzwoicie usposobionemu mieszkańcowi, który kupił bilet i zabiera się do dobrowolnego wysłuchania abstrakcji muzycznej. Pomyślmy ile w tem jest poezji. Przypomina to kiełkujące ziarno owsa. Cud dzieje się codziennie przed naszemi oczami, a myśmy tak się do tego przyzwyczaili, że już nie jesteśmy tem nawet zaintrygowani. Toż samo z symfonją. Nie zauważamy, że muzyk tworzy: zdobywa się na fantastyczny zespół tonów. Instrumentom każe piszczeć, skomleć, grzmieć, bębnić, tuszować, skrzypieć, myślałby kto, że gromada hultajów urządza sobie przemyślną zabawę przed strzechą śpiącego bakałarza, tymczasem to dusza kompozytora przemawia do nas zapomocą znaków uchwytnych. Muzyka jest babilońska, —a dusza subtelna (jak poeta na gwiaździstym lazurze). Muzyka ryczy, a dusza szepce, jak szmer strumyka. Muzyka ma ograniczony legjon instrumentów, ograniczoną salę, ograniczonych słuchaczy. Dusza ma krainy nieograniczone, przecudne, nieśmiertelne, niezbadane i zamglone.

Orkiestra z ludzi, jako sposób eksploatacji filokserji i presji sił dynamicznych na publiczność, jest przedewszystkiem zupełnem barbarzyństwem z czasów Hamilkara, gdzie kilka tysięcy niewolników i koni szło do wodopojów i trzeba było bardzo głośnego nawoływania bizantyńskiego do porządku. Lecz, w braku orgiofonów i monstre vocemobilów przyszłości, musimy się jeszcze na nią zgodzić. Pragniemy wnijść w duszę kompozytora, pragniemy oderwania od życia codziennego, przybywamy do sali — jesteśmy podnieśli. Cisza — symfonja się zaczyna (niewinnie — na razie pianissimo).

. . . .

Brzęczą muszki, grają trąbki, beczy jakiś fagot fauna. Jest miło. Na suficie Filharmonji postacie zaczynają igrać. Na dole ręce ludzi ułożyły się na brzuszkach, oczy się w rozmarzeniu przywierają...

Ale symfonja nie pozwala zasnąć. Zgrzyt instrumentów wzniecą niepokój, wzmaga się. — Lekkie zamieszanie. Ludzie czują, że są mali i nieporadni. Pod sugestją pieśni zaczynają rozmyślać o żywiołach ognia i morza. Zaczyna być gorąco. Na myśl o oceanie, znowóż zimno. Symfonja wzdyma się jak wały morskie. Fale wichru przebiegły po sali i odbiły się od ścian. Ludzie zatracają świadomość dwóch płci, stają się Yogami. Te biedne tłuste panie, ci wycieńczeni panowie... W duszach ich obudziło się echo lechickich Wotanów. Odległe piękne epoki wschodu rasy. Co może im przynieść to życie monotonne w ciasnej ulicy miasta takiego lub innego, to oddalenie się od przyrody, od mchu leśnego. — Symfonja ciągle się wzmaga, tony mocnieją, stają się gwałtowne, szybkie, zmieniają się w jeden namiętny oddech Baala wśród kotłów i surm, w potężny majestat praszatański.

Antrakt.

Panowie muzycy wychodzą ponownie na estradę. Wracają z poprawionemi koafiurami, odkrząknięci i odpoczęci. Każdy z świeżą zaciekłością techniczną. Każdy z nich pragnie unicestwić się w instrumencie, zamienić siebie w najgłębszy i najgłośniejszy ton. Estrada trzeszczy pod ich gromadnemi stopami, wreszcie kapelmistrz, p. Fitelberg, jak Fojbos królewski nieposkromionych rumaków pasji harmonicznej, ujmuje swą czarodziejską gałązkę, białym pługiem palców przebiega skłębiony czarnogleb czupryny i — lekki stuk.

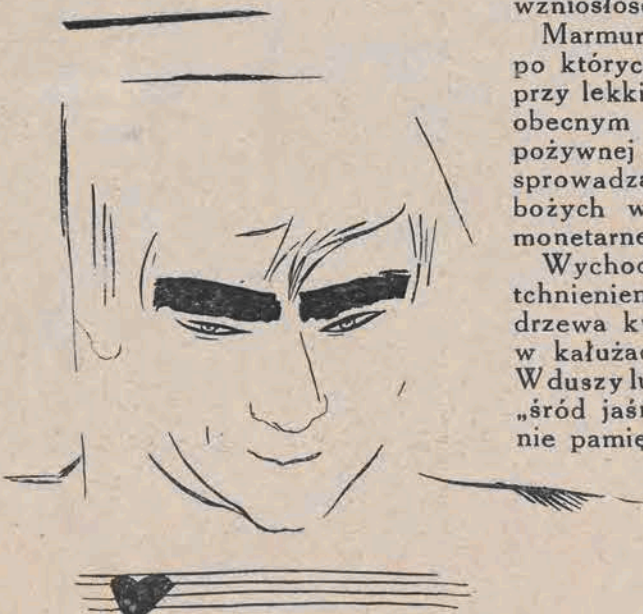
Znowu cisza.

. . . .

Muzyka Karola Szymanowskiego jest bardzo trudna do zrozumienia, jest nieprzenikliwa. To ogrom talentu śród nagromadzonych chmur nad otchłanią gdzie walczą giganci. Snop promieni, gdy po burzy blask z nieba pada na świat przez obłoki, to nowy okres szczęścia, niezbędna opowieść naszemu ja o połączeniu się z bóstwem rosy i zielonych listeczków.

Tysiąc uczuć, jakie piorunowo przebiegamy, słuchając kompozycji Szymanowskiego, łączy się w iście świetny entuzjazm do życia jako piękno do miłości i wszystkich pór roku zagadkowo się powtarzających.

Inna rzecz, że z koncertu wychodzimy niespokojni i zdenerwowani. Walka o garderobę jest pierwszą kapitulacją na rzecz wzniosłości.



Marmurowe schody Filharmonji, po których można zjechać na łeb przy lekkiej nieuwadze pokazując obecnym wady fraka, nadzieja pożywnej kolacji, łagodnie nas sprowadzają z piedestału herosów bożych w djabełkowate praktyki monetarne.

Wychodzimy na ulicę z westchnieniem. Jest ciepło i ciemno, drzewa kwitną, auta odbijają się w kałużach błota. Bzy pachną. W duszy ludzkiej zaśpiewał słowik: „śród jaśminów róż lecz ona tego nie pamięta bo to dawno już".

Zofja Stryjeńska

Barwny korowód Lwowskich piękności w żywych obrazach



Z ks. Światopełk-Mirskich Włodzimierzowa hr. Bem de Cosban jako „Królowa Marja Antonina" według Corneillan'a



Renata hr. Lamezan-Salins jako „Antonia" (portret kostjumowy) według E. Patris'a

Można różnie przedstawić korowód cały uroczych, powiewnych kobiecych postaci historycznych.

Można wydać przyjęcie, jak to ongiś uczyniła Stanisławowa Potocka w Warszawie, w pałacu Potockich.

Chciała uczcić przyjaciela Julijana Niemcewicza i wskrzesiła wiek złoty. Zastał Niemcewicz w salonie i przy stole jadalnym odtworzone żywe postacie Bony, Barbary, Górkowej, Szydłowieckiej, Reja z Nagłowic.

Bona, w lata już zapędzona, na głowie miała czepek, a w szacie ogon.

Ogon paziowie podtrzymywali.

Firlej i Denisko.

Firleja kochała pono i w szaty go stroiła, sama takowe zdejmując.

Stąd przysłowie stare:

„Stroi Baba Firleje,
Kiedy w czubek naleje".



P. Selina Wołkowicka jako „Madame Récamier" według Gerard'a

Deniskę kochała także. Stąd znowuż przysłowie.

„Mały Denisko,
Dobre Panisko,
Królowej Bonie
Dłubie w ogonie".

A na uczcie jedzenia co niemiara. Dymią potrawy, rosoły z figaletami, konfekty. Pachną szafrany, muskatowe gały, imbiery.

Ucztują wszyscy, lecz wszystkich przepije i przeje Rej z Nagłowic. Odetnie skrzydło pieczonemu różnobarwnemu pawiowi i powie:

„Już nie uleci, odciąłem mu połowę sposobu". Tak było w pałacu Potockich na uczcie w obrazach żywych, barwnych.

A można to zrobić inaczej. Obecna wystawa brytyjska w Wembley odtwarza żywą historję najpiękniejszych dwudziestu. Siedzą za szkłem, w salonach — i podziwiać się pozwalają.



Z ks. Jabłonowskich Stefanowa hr. Badeni jako „Królowa Jadwiga" Matejki



P. Krystyna Boguszówna jako „Nadzieja" według Burne Jones'a



Z hr. Tyszkiewiczów Leopoldowa hr. Starzeńska jako „Lady Scheffield" według Gainsborough'a

Pani de Pompadour — Joanna Rybka listy pisze. Taki list milej otrzymać, niż przez Guzika na seansie.

Beatricze ma łzy w oczach. Niewdzięczność ludzka ją smuci. Poco przez sześć wieków mówią, że gdyby była żoną Dantego, a nie kochanką, nie byłoby Boskiej Komedji.

Wszak żona dusza, kochanka ciało.

Szeherezada siedzi z podwiniętemi nogami i patrzy z zadumą w dal.

Tej najtrudniej. Przez sześć miesięcy podwinięte nogi mieć!

Tak jest w Wembley na wystawie.

A we Lwowie było inaczej.

Ks. Ordynatowa Lubomirska, hr. Leon Piniński, p. Horodyski barwnie zobrazowali kilkanaście cudnych postaci w żywych obrazach.

Matejkowska królowa Jadwiga—to hr. Stefanowa Badeniowa.

Doskonale się w swą rolę wżyła.

Dała cudną postać Jadwigi, dostojną, ofiarną, silną. Matejki zagadkowa głębia duszy, subtelne linji odchylenie.

W swem dziele się zatracił, historyczne widzenie miał, wyczuł, wypieścił!

Przy niej, może najpiękniejsza, hr. Bem de Cosban, jako Marja Antonina Corneillan'a.

Pysznie wygląda ta Światopełkówna, od wieszczego Olega idzie i wieszczbę przyjazną w cudnych oczach ma.

Jakby kamea starogrecka, w sardoniksie rzeźbiona, Templarjuszom ofiarowana.

To już ostatnie błyski białolśniącej peruki, zawoju, pierścieni.

Boska Oktawja ma perukę z marmuru, na posąg włoży i zdejmie.

Marja Antonina ma pyszną perukę pudrowaną.

A potem. Żegnaj peruko, żegnaj pudrowana.

Pani Récamier w empirze władnie swą dostojność oznajmi.

Ją przedstawi z obrazu Gerarda pani Selina Wołkowicka.

Pani Récamier.

Za to kochana przez literatów, że literatką nie była, za to kochana przez kochanków, że nikogo nie kochała, za to kochana przez Burbonów, że nie kochała Bonapartów, zato kochana przez Bonapartów, że nie kochała Burbonów. Enigma.

Gerard to koniec królewicza czaru, to podzwonne, to podmuch lodowy antyku, to półbogów greckich władanie.

A dalej z obrazu E. Palris'a hr. Renata Lamezan, jako Antonia.

Schodzi z obrazu z kresą hiszpańską, z perłą nad czołem, z niesamowitem poczuciem życia.

Uważne, zachwytu pełne spojrzenie, zasłuchanie.

Oddech się słyszy, nieustanny uśmiech sfinksowy się czuje.

Uśmiech Monny Lizy Leonardowej.

Monnie Lizie ktoś grał, ktoś śpiewał, ktoś ją zabawiał, by była wesoła.

Czasu renesansu to łatwo.

Jak teraz zabawić, by uśmiechnienie było.

Wszak nie teozofją, nie astrologją, nie fotografją czterdziestu siedmiu duchów.

Antonji uśmiech — to szukanie prawdy, piękna.

I jeszcze Gainsborough niezrównany.

Hr. Leopoldowa Starzeńska, jako Lady Scheffield.

„Bądź co bądź pójdziemy do nieba, a Van Dyck razem z nami" — stary Gainsborough do Reynoldsa powiedział.

Czy do nieba przyszedł nie wiemy, lecz że do Lwowa przyszedł, to wiemy.

Przyszedł w improwizacji z bożej łaski.

Przyszedł w rozsrebrzonej bieli i błękicie, jak widzenie.

To typ Angielki „co mogła kochać się w róży", to nie „Rubensowska obfitość".



P. Jadwiga Horodyska jako „Miss Smith" według Romney'a

Twarz śliczna, muzyką wyrazu rozegrana.

A jaką muzyką? No chyba nie shimmy i nie foxtrottem.

Przy niej z tejże plejady, Romneya dziewczę, przez p. Jadwigę Horodyską przedstawione.

Jasne, spokojne, wytworne, zadumane dziewczę.

To już czasy Romney'a najlepsze.

Czasy, gdy się wyzbył zadużenia w jakiejś Emmie.

Emmie, do której lgnęli Gainsborough, Romney, sam wielki Reynolds Jozue.

Milszą im była, niż sława — kochanka, niż pendzel-kochanek.

Romney się zadużył, użył, lecz nie zanurzył, żył w blasku i słońcu.

Dał potem cudną wizję, bajkę.

I jeszcze olbrzym, mistyk, samotnik, Burne Jones prerafaelita.

Studjował teologję, ożenił się z Georginją, uciekł od teologji i Georginji.

Żył w zaświatach, zadumie, złudzie, poza wiekiem.

Z fresku Campo Santo Pizy wysnuł nie rozdawczynię spokoju, a życie, nadzieję.

Nadzieję krzepką, ożywczą wyczuje i z prostotą odtworzy panna Krystyna Boguszówna.

Takich barwnych wizyj korowód lśniący, pozłotny.

ANTONI URBAŃSKI

KOCHAŁEM CIEBIE...

Kochałem Ciebie — — —
Noce szły upojne,
Księżyc się widmem przeglądał w jeziorach,
Złocąc trzcin sploty, które oto znagla
Przeciągłym szumem zadrgały dokoła,
Choć żadna ręka ich nie poruszyła,
Choć żaden wietrzyk nie wdarł się w ich gąszcze. —

Kochałem Ciebie — — —
W alejach ogrodów,
Kędy okiście bzów dojrzałych zwisły,
Parnej przestrzeni oddając się w lenno,
Na żwirach ścieżek kreśliłem bezładnie
Jakoweś runa i znaki dziwaczne,
Których sam potem zrozumieć nie mogłem,
Gdy bzy przekwitły i wonie przewiały...

Kochałem Ciebie — — —
W pośród łąk zbłąkany
Padałem twarzą w wilgoć młodej trawy
I źdźbła jej drobne do ust przytulałem
I z kwiatów rosy spijałem rzeźwiące,
Bo każdy kwiatek był mi twym warkoczem,
A każda trawka ustami twojemi.

Kochałem Ciebie — — —
Twojego odbicia
Szukałem w lustrach ruczajów i krynic
I w jasnych oczach mimolotnych ptaków
I w kłębach srebrnie sunących obłoków
I w rozpalonych a podłużnych cieniach,
Które się kładły na ściany mej chaty
W upalne, duszne spiekoty południa.

Kochałem Ciebie — — —
Jawy miałem wonne,
Pełne przywidzeń i radosnych smutków
I sny naglące ku odjazdom w jutrznię,
Sny, pełne dziwnych a bezwiednych spotkań,
Pełne odśpiewów i tęsknych przyczajeń
I szukających się nawzajem spojrzeń.

. . . .
. . . .

Umarła wiosna i miłość umarła
I tylko pamięć cierpka pozostała
O tem, że kiedyś noce szły upojne
I że tym nocom nie będzie powrotu.

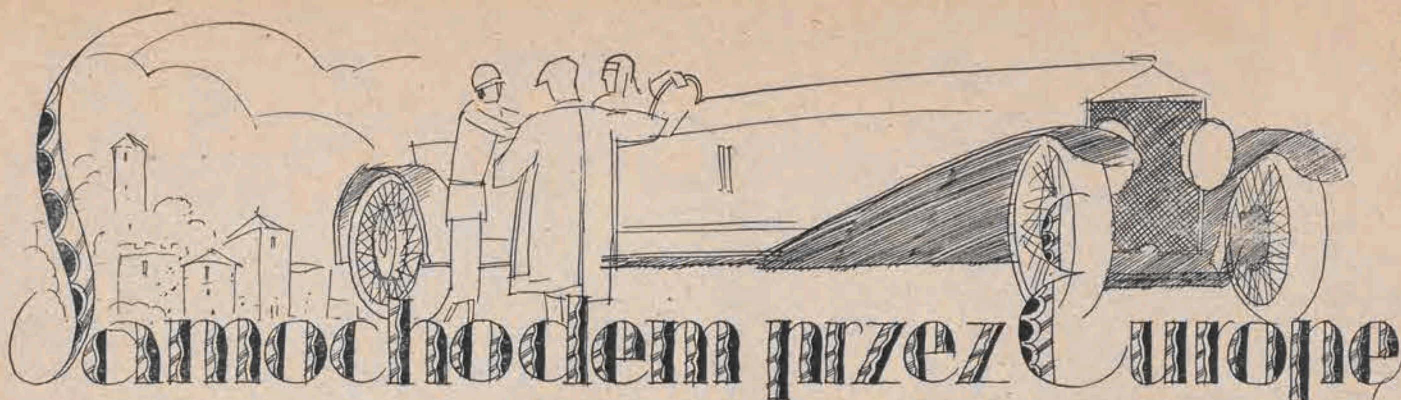
ZYGMUNT RÓŻYCKI



Fot. St. Brzozowski

MIECZYSŁAWA ĆWIKLIŃSKA
„Małżeństwo Fredeny" (Teatr Komedja)

Toaleta z pracowni Gustawa Zmigrydera



PARYŻ — NICEA — WARSZAWA

(Ciąg dalszy)

Z Grasse do Nicei przemknęliśmy prawie niepostrzeżenie — w Cannes ujrzeliśmy morze, a w kilka minut byliśmy już w Nicei, przebywszy pomyślnie 934 kilometry, a więc przeszło czwartą część podróży.

Nicea — Cannes — Mentona — Monte-Carlo... urocza, osławiona Côte d'Azur! — Przeszła tu wojna i pozostawiła swe ślady: nie poryła ziemi granatami, nie spaliła miast... ale pyłem zapomnienia pokryła ornamenty pałaców i złocone pająki hallów, i spędziła do sal gry, tych świetnych ongiś przybytków przepychu i blasku cywilizacji całego świata — tłumy nouveauriche'ów obojej płci w czerwonych i zielonych sweatrach, w kolorowych marynarkach, o typach — nie mówmy. Muszą się wzdrygać i kurczyć jak żywe marmurowe stopnie, wiodące do pałacu gry w Monte Carlo, gdy co godzina pociąg z Nicei wyrzuca na nie zastępy hałaśliwej, pstrej, tupiącej gawiedzi, wśród której, jak pokutujące duchy, snują się zrzadka ci prawdziwi, ci dawni...

Pocieszmy się, że początek kwietnia, to już koniec sezonu, gdy zazwyczaj publiczność jest mieszana i przypadkowa, może w sezonie bywa lepiej.

Ładne było corso kwiatowe dzieci w Nicei. Biliśmy brawo małej Polce w kontusiku, miły był żółty, puszysty bobuś w gniazdku, jako „poussin de France", zachwycająca Colombina z Pierrotem i Pajacem pod niebieskim półksiężycem, a oryginalnością pomysłu i wykonania przeszedł wszystko na wysokiej kolumnie na kołach umieszczony paw — śliczna dziewczynka, cała w lśniących piórkach, z olbrzymim ogonem kolisto rospiętym, który ją zupełnie nakrywał, gdy się schylała po kwiaty.

I w Nicei było zimno. Było tak zimno od zeszłej jesieni, że palmy na Promenade des Anglais pożółkły i poschły od mrozów, i stoją szeregiem, jak stare wyblakłe mundury na manekinach gwardzistów w muzeum. I te żółte liście, i mrozy, i późną wiosnę ludzie tu przypisują wojnie. Staraliśmy się odtworzyć sobie dawną, świetną Niceę z poślubnych podróży naszych rodziców, ciepłą, roskoszną. W tym celu nasze panie postanowiły choć raz wykąpać się w morzu. Już się potrochu ludzie kąpią przy 13°C i jeden z naszych sportsmenów, ten co chciał schudnąć w podróży, odważnie co dnia zanurzał się w zimnych falach à la Grande Bleue. Kupiły więc sobie panie kostjumy kąpielowe. Wybierały bardzo długo, zwłaszcza czepeczki i nawet się ubrały. Ale jedna się nie kąpała, a druga się wykąpała wprawdzie, ale jakoś znienacka, po uroczystem zapewnieniu towarzystwa, że się w morzu kąpać nie będzie, tylko w ciepłej wannie, w kabinie — jakoby, aby się nie narazić na wstyd, jeśliby jej w ostatniej chwili zabrakło odwagi i to podobno jedynie na tę intencję, aby zastać w hotelu depeszę z domu. I depesza była rzeczywiście.

Ale siedzimy już cztery dni w Nicei, 9-ty kwiecień, a droga daleka, — trzeba jechać. Najpiękniejsza część podróży — Włochy: Ventimiglia — Genua — Pisa — Florencja — Bolonja. Mamy nadzieję, że tam nareszcie będzie ciepło, tam zobaczymy prawdziwą wiosnę: Niestety! Nadzieja tem się różni od pewności, że często, częściej jeszcze od tej ostatniej, zawodzi. Nie pojechaliśmy przez Włochy. Informacje dane nam przez autoklub w Paryżu zostały „zdementowane" przez autoklub w Nicei. Suma wymieniona przez uprzejmego cudzoziemca, którą należało na granicy Włoch złożyć w urzędzie celnym w charakterze kaucji zwrotnej brzmiała tak poważnie, że połączone kapitały, jakie Polska Krajowa Kasa, już w tej chwili należąca do historji, uznała za dopuszczalne zezwolić nam wywieźć z kraju na nasze cztery paszporty o półrocznem trwaniu, w dziesiątej części nie wystarczały na jej pokrycie. Wyrabianie tryptyku przedstawiono nam jako czynność zajmującą tydzień czasu i to z koniecznością powrotu do Paryża po odnośne dokumenty firmy Panhard, słowem przysłowie „niema na świecie nic niemożliwego", a przynajmniej „dla chcącego nic trudnego", minęły się w tym wypadku z prawdą, o ile chcieliśmy powrócić na święta do domów i rodzin.

Jak nie przez Włochy, to inaczej. Pojechaliśmy z powrotem przez Grenoblę, Szwajcarję i Niemcy. To nie było dowcipne, ale, że nam już o dowcip nie chodziło, zrobiliśmy dobrą minę, trochę się w duszy gotując do niezbyt miłego przejazdu przez okupowane terytorja, — i w drogę, przez Alpes Maritimes — do Szwajcarji.

To było śliczne. Ta droga z Nicei do Grenoble i dalej do Genewy. Ogrody w kwiecie, winnice, gaje oliwne, plantacje pomarańcz, palmy, zrazu łagodne wzgórza i pochyłości, potem coraz większe góry, coraz głębsze urwiska, przepaście, skały, tunele, groty, rwące potoki i wodospady, odwieczne, omszałe lasy, ponure skalne płaszczyzny bez roślinności, o różnobarwnych warstwach granitu i bazaltu, jakieś wilgotne jaskinie, mosty rzucone nad przepaściami, — maleńki pociąg na takim moście przyprawia o zimne dreszcze, — szosa wije się jak wąż, a wydaje się tak wąską, że każdy samochód, wypadający na wirażach na nasze spotkanie z za skalnej ściany, przyśpiesza bicie serca. Jest mroczno i beznadziejnie smutno — jakieś olbrzymie więzienie. I nagle zazieleni się dolina, maleńka stacyjka, zagra setką barw wioska w ogrodach, jak

oaza w pustyni: palmy, które nam towarzyszą aż do Genewy prawie, potęgują to podobieństwo; mijamy St. Martin-du-Var, La Tinée, La Serre-Pont de la Dame, La Faurie, St. Jean-Baptiste. Zadziwiające są murowane z kamienia miasteczka wiszące, uczepione skalnych zbocz na parusetmetrowej wysokości; składają się z kilkunastu lub kilkudziesięciu trzy i czteropiętrowych domków, opartych od strony przepaści na wysokich, kilkakrotnie przewyższających zamieszkałą część budynku fundamentach, jak jaskółcze gniazda. Widać wieżę z zegarem, prawdopodobnie ratuszową, kościelne wieżyczki. Jak się to buduje, jak się tam mieszka, a zwłaszcza jak się stamtąd schodzi — niewiadomo.

8-ma wieczorem, kres dziennej podróży—Grenoble. Na liczniku mamy już 1262 kilometry, maszyna w porządku. Tu nocujemy w Hotelu Moderne, niegdyś „Des Trois Dauphins“, który posiada pokój historyczny z mahoniowem łożem, gdzie spędził noc 7 marca 1815 r. Napoleon I, wracając z Elby. Pokój ten dostał się naszemu szoferowi, lecz ten, zdaje się, nie docenił należycie zrządzenia losów: był tak śpiący, że niebardzo wiedział na czem śpi, proroczych snów nie miał i wogóle tę okoliczność zmarnował.

Ranek 19-go kwietnia w Grenoble schodzi na przyprowadzaniu do porządku samochodu, który w czasie deszczu mocno się zabłocił, oraz dopasowywaniu szyby ochronnej przed tylnem siedzeniem, gdyż jadącym pęd powietrza zrywał głowę. Panie badały ceny w Grenoble: okazało się, że były o połowę niższe jak w Nicei, a nawet w Paryżu, który jest od Nicei tańszy. Zirytował nas jeden krawat — za taki sam zapłaciliśmy w Nicei 60 fr., gdy w Grenoble wystawiono identycznie taki w oknie pierwszorzędnego sklepu męskiego z ceną 19.90 fr.

Skoro mówimy o cenach, musimy pocichu powiedzieć, że kto nie ma na spędzenie lata w Konstancinie, niech jedzie do Francji — pod warunkiem oczywiście uzyskania ulgowego paszportu. Możliwy zupełnie pensjonat nad morzem kosztuje dziennie, tout compris, 25—30 fr.

W Grenoble zrobiliśmy furorę, opowiadając w hotelu, że jedziemy z Paryża przez Niceę do Warszawy. To ostatnie pojęcie jest zagranicą dość mgliste i wiąże się czasem z Moskwą, czasem z Bukaresztem, jak to miało miejsce w Nicei, gdy w owocarni dawaliśmy warszawski adres, wysyłając dzieciom koszyk pomarańcz i bananów—nb. nie doszedł do dziś dnia. Ale w każdym razie budziło przerażenie, a przynajmniej podziw dla nas. Widocznem było, że z przyjemnością pewną stwierdzają fakt przynależności naszej do ludów znających już samochód.

Od Grenoble do Genewy mamy 135 klm.; droga o wiele równiejsza i mniej urozmaicona. Przejeżdżamy przez Chambéry, Aix-les-Bains, Frangy, St. Juliens. Na ostatnim odcinku rozwijamy największą szybkość—do 120 klm. Granica w Perly—pierwsza granica: rewizji żadnej, urzędnicy bardzo uprzejmi, formalności przeszły gładko. W Genewie zatrzymaliśmy się na parę dni z powodu wiz na Niemcy, których nie posiadaliśmy. Nasz szofer, otrzymawszy list polecający z sekretarjatu delegacji polskiej w Lidze Narodów, został przyjęty w poczet członków szwajcarskiego autoklubu, co nam znacznie ułatwiło dalszą podróż.

Opuszczamy Genewę 12-go kwietnia o 8.30 rano. Góry towarzyszą nam zdala — my trzymamy się jezior: okrążamy Lemańskie, Neuchatelskie, Bielskie. Przecudne jest Neuchatel: Jezioro nie ma brzegów jak morze, ma zupełnie morską wodę i plażę.

Wkrótce za Genewą charakter kraju wybitnie się zmienia: styl niemiecki, niemiecka mowa, ale nastrój łagodny. Koło piątej pp. jesteśmy w Bazylei, na granicy Niemiec. Wykupujemy Steuerkarte za 500 złotych marek, co w porównaniu z zeszłoroczną kwotą 20 marek papierowych, jest niemiłą niespodzianką. Otrzymujemy jednak niemiecki numer, bez wielkiej litery „F“, jaką nam chciano koniecznie przyczepić, dla uwidocznienia zapewne francuskiego pochodzenia maszyny. Obroniliśmy się, ale niewiele to nam pomogło. Nasz samochód i pasażerowie zbyt się różnili od spotykanych w tym kraju, zwłaszcza, że jechaliśmy od od strony Francji: musiano nas brać za członków Komisji międzysojuszniczej i odpowiednio spotykano.

Dzieci w pogranicznych wioskach urządzały na nasz widok prawdziwą kocią muzykę, obrzucały auto piaskiem i kamieniami, wykrzywiały się i zachowywały wręcz wrogo. Nie należy może zbyt im się dziwić, a w każdym razie musimy mieć dla nich wyrozumiałość. Ale dzieci dużo — same dzieci: trzeba było wolno jechać, bo co chwila coś małego wpadało pod koła. Nad kurami kilka razy musieliśmy przejść do porządku dziennego i raz nad kotem, ale tego uważać należy za zdecydowanego samobójcę, bo kota nie można przejechać przy najszczerszych chęciach, tak jest zwinny i czujny. Zresztą z tym kotem to sprawa niewyjaśniona: był tam jednak jakiś gwałtowny zwrot w bok... a nasz szofer jest trochę przesądny, — niedobrze, gdy kot przebiegnie drogę...

Późny obiad i nocleg we Freiburgu, w hotelu Zaehringer Hof; mamy przykre zajście w sali restauracyjnej: do lokaja, który nam podaje potrawy, zwraca się od sąsiedniego stolika dama z głośnym protestem przeciwko „polnischer Sprache“ w miejscu publicznem. Lokaj był mocno skonsternowany, nikt z obecnych protestu nie podtrzymał, my oczywiście dalej rozmawialiśmy po polsku, ale sąsiedztwo tej damy o pałających policzkach, widocznie dotkniętej w swych najświętszych uczuciach i gotowej lada chwila wybuchnąć nanowo, było nam przykre; z ulgą prawdziwą opuściliśmy wreszcie restaurację, a nazajutrz rano Freiburg.

Potem był Szwarcwald. Śnieżna przełęcz przed Titisee, gdzie grzęźliśmy w śniegu, godzinami nas odkopywano wśród wichru i zamieci prawdziwie grudniowej. Cudne Titisee, tonące w brylantowych blaskach słońca i śniegu, oszronione lesiste szczyty, białe pola, narciarze, sanki — inny świat. Za Titisee zjazd w dolinę — jeszcze raz potrafiliśmy ugrzęznąć na równej drodze, w płytkim, miękkim śniegu: tam było nieporozumienie z drzewem przydrożnem—samochód poślizgnął się, skręcił i wparł przedniemi kołami w zaspę sformowaną wzdłuż drogi między korzeniami drzew.

(D. c. n.)

J. M.

PIERWSZY KONKURS „PANI”

ROZWIĄZANIE KONKURSU PIĘKNOŚCI

Zapoczątkowawszy konkursem piękności cykl współzawodnictw dla swych czytelników, „Pani“ pragnęła go pierwotnie rozstrzygnąć drogą plebiscytu w kinie, ażeby zainteresować nim ogół społeczeństwa, i dać możność wszystkim uczestniczenia w sądzie konkursowym.

Ze względów technicznych jednak termin ukończenia konkursu musiał być przesunięty, a ostatecznie przedłużył się aż do drugiej połowy czerwca.

W tym czasie prawie wszystkie nasze urocze czytelniczki opuściły stolicę aby użyć zasłużonych wywczasów po trudach zielonego karnawału lub też poprostu dlatego, że tak każe tradycja (patrz feljeton Makuszyńskiego „Pani wyjeżdża“). Redakcja tedy „Pani“ twardy miała orzech do zgryzienia, jak urządzić rozwiązanie konkursu. Trudno bowiem jest objechać z filmem wszystkie „Poroniny“ „Zakopane“ „Gdynie“ i „Żegiestowy“, aby zapytać o zdanie tych, którzy największe mają prawo do wyrokowania w sprawie piękności „Pań“, to jest naszych czytelniczek i czytelników.

Cóż tedy czyni Redakcja?

„Poszedłszy po rozum do głowy“, zebrały się co mędrsze męże na naradę i postanowiły: Film wysłać zagranicę, aby po wszystkich zakątkach świata rozsławić piękność tej, przed którą „klęknąć mają narody“, reprodukcje zdjęć, wybranych przez jury, umieścić na łamach naszego pisma; wybór zaś pięciu najpiękniejszych — zgodnie z warunkami konkursu —

POWIERZYĆ CZYTELNIKOM I CZYTELNICZKOM „PANI”.



SPOSÓB GŁOSOWANIA:

Każdy z czytelników naszych zechce odciąć załączony kupon i, wypełniwszy go w odpowiednich miejscach godłami tych, którym kolejno nagrody, Jego zdaniem, przyznać należy, na odwrotnej stronie własnym podpisem i adresem opatrzywszy, odesłać w kopercie do

REDAKCJI „PANI“, DZIAŁ KONKURSÓW
WARSZAWA, WSPÓLNA Nr. 33, MIESZK. 3.

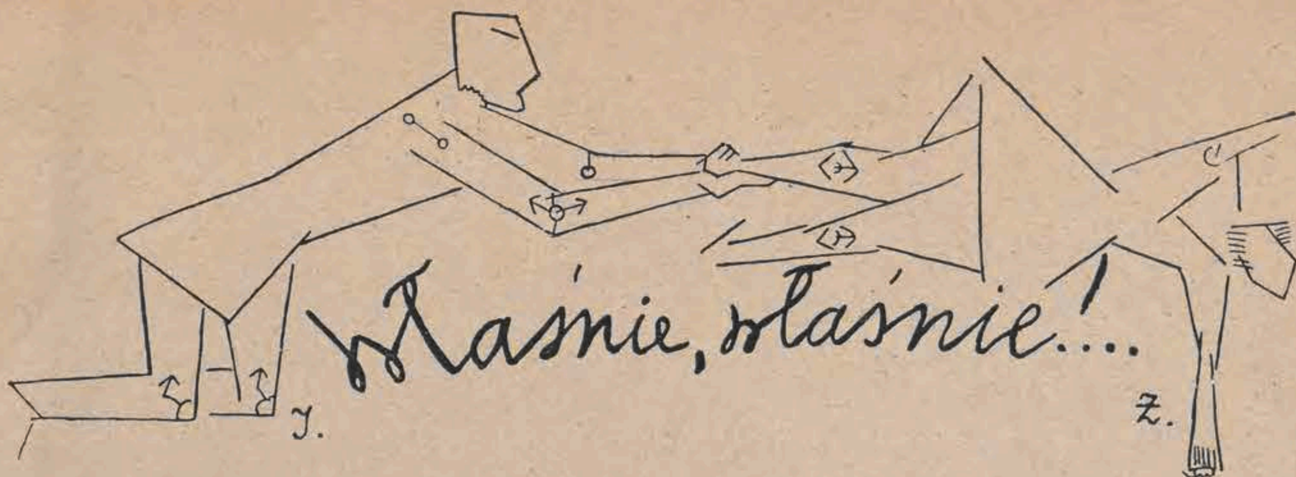
Redakcja porównawszy wszystkie kupony, w wyniku głosowania przyzna nagrody, a rezultat poda do wiadomości czytelników na łamach naszego pisma.

Przy tej sposobności Redakcja pragnie urządzić małego totalizatora, a mianowicie:

TEN Z CZYTELNIKÓW, KTÓRY PIERWSZY NADEŚLE ROZWIĄZANIE NAJBARDZIEJ ZBLIŻONE DO OSTATECZNEGO WYNIKU, OTRZYMA BEZPŁATNIE ROCZNĄ PRENUMERATĘ „PANI“.

TERMIN NADSYŁANIA KUPONÓW USTALONO NA DZIEŃ 1-go WRZEŚNIA

Spieszcie się tedy mili czytelnicy, albowiem nagrody przeznaczone dla naszych najpiękniejszych nudzą się i niecierpliwie oczekują chwili w której dostaną się do rączek laureatek konkursu.



literatura

J. STYCZ. CZARNY PIES. Opowiadania. Wydał Instytut Literacki „Lektor". 1924. Warszawa. Zorganizowany przez „Lektora" konkurs im. Gabrjeli Zapolskiej wydał plon wyjątkowo obfity: nagrodzono lub wyróżniono sześć powieści i tom poezyj. Śród pięciu odznaczonych autorek znalazło się również nazwisko p. Stycz-Naglerowej, znanej publicystki i uzdolnionej nowelistki. „Czarny pies" nosi wprawdzie tytuł: „powieść zaszczytnie wyróżniona", ale to zapewne wybieg wydawców, którzy wciąż ulegają przesądnej wierze, że „publiczność nowel nie lubi". A właśnie książka p. Stycz-Naglerowej jest zbiorem dziewięciu opowiadań, niemających ze sobą żadnego związku, poza wspólnemi cechami talentu autorki. Talent to niewątpliwy i zdecydowany, szukający śmiało drogi własnej. Chociaż „Czarny pies" wychodzi z konkursu imienia Zapolskiej, daleki jest od metod narracji naturalistycznej. Tylko trzy ostatnie opowiadania, na tle wojny osnute, pisane są według schematów realistycznych: „Maroniarz" ma sentyment nieco mdławy, cokolwiek „nowelkowo" rozwijany; „Głód" za to, ujęciem przedmiotu, zwłaszcza momentów grozy, objawia dość wyrazistą indywidualność pisarską; wreszcie „Pszeniczny łan", pomimo pewnej sztuczności założenia i podejrzanej chłopskości środowiska, zawiera ciekawe akcenty niepokoju, które łączą tę opowieść z naczelnemi, zasadniczemi niejako cechami talentu p. Stycz-Naglerowej.

Autorkę „Czarnego psa" pociąga pierwiastek tajemnicy w życiu, sił nieznanych lub niepoznawalnych, sił „nieczystych", wydarzeń niedających się wyjaśnić za pomocą logiki ludzkiej, patologicznych autosugestyj, doprowadzonych do grozy niepokojów duszy, wstrząsających wypadków, w których wola jednostki ulegała niewytłumaczonym mocom, — cały zgoła świat „dziwów życia", które się najczęściej lekceważy, a które niekiedy stają się źródłem potężnych, tragicznych przeżyć. Przeżycia te niezawsze rozwija p. Stycz tak naturalnie i składnie, jak w wybornie napisanej „Dziewczęcej nocy" lub w tytułowej opowieści „Czarny pies", w których autosugestja „nieczystej siły" ma dla czytelnika urok artystyczny. W opowiadaniach innych („Djalog o zmroku") regulatorem wzruszenia chce być „literatura" t. j. kombinacja wyrozumowana, ku sztucznym efektom dążąca. W stylu Poego napisana, nieco makabryczna „Zbrodnia", obok szczerego talentu narracyjnego, ujawnia zamiłowanie w sensacji jaskrawej, ostrej, skomplikowanej nieraz naiwnej.

Najbardziej znamienne, objawiające ciekawe możliwości talentu p. Stycz-Naglerowej wizje zawierają opowiadania „Przedranie" i „Tępiciel bezruchu". Obie wyszły również z „literatury", ale posiadają niemało szczegółów wybitnych, w których irracjonalny żywioł wypromienia fantazja dość bogata i niezwykła.

P. Stycz-Naglerowa pisze zajmująco, żywo, ma zawsze na usługi metafory, świeże i malownicze poczucie plastyki w najsubtelniejszych obrazach. Polszczyzna jej niezawsze jest pewna („w poszukiwaniu *za* pokojem", „*uładzi* bryczkę", „fizjognomje *markantne*" i t. d.). Drobiazgi te naprawić może wzmożone poczucie powagi własnego talentu, bo poczucie takie budzi czujność i zwiększa wymagania pisarza wobec samego siebie. *J. L.*



J. STYCZ
autorka „Czarnego Psa"

❋

LIRYCY FRANCUSCY. Wybór poezyj. Wydał Leopold Staff.

Być może Staff lepiejby uczynił, gdyby zebrawszy tylko swoje przekłady w jednej mniej obfitej książce, podał nam w ten sposób kwiat swojego smaku i owoc swej pracy. Rozproszone te przekłady pomiędzy innemi—nietrafnie nieraz dobranemi—nie dają czytelnikowi ani części tej przyjemności, którą by dać mogły.

Znaliśmy dotychczas Staffa jako poetę; pamiętamy uniesienia jego, walki i uspokojenia, kwitnącą gałęź młodości i pełne zamyśleń przechadzki przez proste ścieżki polne.

W tej książce staje poraz pierwszy przed nami Staff tłumacz, który nietylko wnika w przekładane utwory do głębi i, że tak powiemy, przystępuje do transpozycji ich od wewnątrz, ale zawsze u każdego poety znajdzie jakąś bliską sobie, co za tem idzie bliską nam nutę. Pomaga to mu tworzyć arcydziełka, które się czyta, jak własne Staffa poematy.

Weźmy, naprzykład, suchą dość „Pociechę dla Véruz'a po stracie jego córki" — Malherbe'a. Ile z niej Staff potrafił wydobyć wdzięku i, stylu epoki nie zatracając, przydać jej rumieńca. Tak samo zachwyt wzbudza oddanie stylu tego Watteau poezji—Ewarysta Parny:

Niech nasze życie płynie samotnie i skrycie,
W tajemnicy pod skrzydłem zaciisznem Miłości,
Jako strumień, co, ledwo szept wydając, płynie
I w łożysku ścieśniając swoich fal rozlewy,
Szuka starannie cienia pod gęstemi krzewy
I nie waży się jawnie pokazać w dolinie.
Prawdziwej szczęśliwości szlak nieznany, niemy,
Skryje nas przed zawiści spojrzeniem zuchwałem;
I ludzie rzekną, kiedy już żyć nie będziemy:
Kochali się i to ich życiem było całem.

Zdaje się, że jednak najbliższy Staffowi jest Alfred de Vigny; w goryczy jego i dumie znajduje Staff tak pokrewne dźwięki, że żałować przychodzi, iż dwa tylko poematy („Róg", „Gniew Samsona") znajdujemy tu w jego przekładzie obok pięknego tłumaczenia „Mojżesz" pióra Miriama.

Prawdziwą ozdobą tego tomu są utwory Kościelskiego, Mieczysławskiego, Ostrowskiej, Zawistowskiej. Szkoda, że pominięto przekłady Tuwima i Słonimskiego. *ji.*

❋

„RÓŻOWA MAGJA" PANI PAWLIKOWSKIEJ. Pocóż jechać do Turcji, kiedy w naszym kraju, który wiatr północny nieco bledszym czyni, pachnie tak upajająco bez turecki? Taką słodyczą dyszą wiersze, jak wszelkie sorbety i rahat-łokumy Wschodu? Tak pachną mocno kwiaty i usta, do rymu i nie do rymu?

Pocóż jechać do Turcji, kiedy wonie, smaki i dźwięki zdałyby się tam może zbyt słodkie i nazbyt pieszczotliwe—podczas gdy tu wszelka ostrość woni, pociągłość smaku, czułość struny łagodzi ten wiew stepowy smutku, lubujący się, jak w zwierciadle, w oczach pani Pawlikowskiej?

Wiatr ów od stepów i od dawnych czasów, ten stepowy, ten hajdamacki, a szlachecki, a pełen barw przywiędłych, napoły nieznanych, napoły zapomnianych „krzyczy nam głośniej, niżeli krzyczący Derwisze!"

Być może, że bez tego wiatru polszczyzny stałyby się poezje pani Pawlikowskiej li tylko „flakonami perfum na półkach



MARJA Z KOSSAKÓW PAWLIKOWSKA

księgarskich", jak to po komiwojażersku określił ktoś gdzieś. Niechybnie wiersze różowej czarownicy pachną — ale pachną upojnie i świeżo: a więc ziemią, liściem, deszczem, bzem, smutkiem...

Jeśli jest w nich coś z perfum—to może owa kobiecość subtelna i smutna, zrezygnowana a zaborcza. Powiadają o snobizmie „Różowej magji"—nie, wierzcie mi, to tylko naprawdę wytworność. Nie boi się ona śmiałych słów i zestawień, nie boi się nawet czasami przesady w poufałości, jak wówczas kiedy to „Bóg częstuje mocnym papierosem — z gwiaździstej, czarno-złotej swej papierośnicy".

Jeżeli mamy porównywać już, to porównajmy wiersze zawarte w tym mszale „magji współczesnej" do kolibrów, które są klejnotami—a przecież żyją.

Nie są to bowiem szlifowane i w misterne oprawy przez długie godziny wprawiane klejnociki, są to pół-ptaki, mające wszystkie barwy i blaski klejnotu i jeszcze coś, życie ukryte, życie pełne niepokoju, smutku może, jednak niezmiernie piękne.

Jak dziad jej—ów dziadzio, co to „strząsał jedwabny popiół w popielniczkę starą, ślad ołówka wycierał kawałkami chleba, a po kobalt przez okno sięgał aż do nieba—" jak dziad jej był malarzem koni— tak pani Pawlikowska, zdaje się, jest malarką ptaków; nietylko bowiem wiersze jej są podobne do tych klejnotów bożych, ale wracają do malarskiego tematu ptaka raz poraz, jak do zasadniczego leitmotivu, jak do znaku znamionującego pochodzenie. Ptak jest podpisem Pawlikowskiej — jak piesek Tiutozebta.

Jak cudownie, jak odmiennie umie malować swe japońskie ptaszki pani Pawlikowska — inny jest „Słowik i świt", inny „Ranny ptak", inny „Ptaszek" poprostu; — aż gdy niepokoje swego ludzkiego serca zechce zakląć w najwyższy zamarły pytajnik, zwrócony ku czarnej nocy, słowikowi każe pytać „szklanie, sucho i nieśmiało" — „...i znów jeszcze raz się pytać", aby pytanie owo wieczne, na które zawsze „Bóg zwleka z odpowiedzią", zostało jak mroźny kielich, jak kryształowy znak zapytania nazawsze w naszej literaturze lirycznej.

Zapewne, to co mówię to jest takie sobie ględzenie. Opowiadanie poety o poetce—inni wyliczą te majstersztyki, chwyty, obroty rymów rytmów i olliteracyj — znajdą się tacy zapewne, a jeżeli nie znajdą, niewiele stracimy.

Ja chciałem powiedzieć tylko, że ta czarownica poezji, w swej różanej książeczce dała nam amalgamat wonnej róży, czarnego ptasiego piórka maczanego w tuszu biegłej rysowniczki i ludzkiego, bardzo ludzkiego serca. JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

⁂

DJALOGI TAŃCUJĄCE. Wiele się mówi o sztuce rozmawiania, lecz jakże mało ludzi sztukę tę posiada! A przecież to sztuka bodaj najniezbędniejsza dla człowieka, bowiem przez nią obcowanie towarzyskie staje się roskoszą, czyli człowiek człowiekowi staje się miły. Dzięki umiejętności djalogowania najobojętniejsi ludzie, którzy dopiero zawarli znajomość, znajomość przelotną, unikają tak zwanej *piły five-o'clock*'owej, czy innej, i nawet zdołają przyjemnie wybrnąć z niejednej trudnej sytuacji życiowej, ku zadowoleniu własnemu i strony przeciwnej. Umiejętność prowadzenia djalogu—to jeden z najpiękniejszych wdzięków ludzkiego współżycia. Jeżeli *umiemy* rozmawiać, to nawet rozmowa na przykre tematy staje się dla nas przyjemnością. W własnym i ogólnym interesie powinniśmy się starać posiąść uroczą sztukę prowadzenia djalogu.

Lecz jakże ją posiąść?

Do prowadzenia interesującego djalogu potrzebna jest przedewszystkiem bystra inteligencja. Im bystrzej (ostrzej, jaśniej, przenikliwiej) myślimy, tem bardziej gibki i bardziej interesujący jest nasz djalog. Więc... najpierw bądźmy inteligentni, miejmy coś do powiedzenia, a potem... zwróćmy się po wzory do najświetniejszych mistrzów djalogu. Do genjalnego Platona, do Lucjana, do Cycerona, do Fénélona, Fontenelle'a, Diderot'a, Macchiavella, Gozzi, Lessinga, a z pomiędzy Polaków, do Orzechowskiego, Krasickiego i Klaczki. Między pisarzami polskimi przedostatniej i ostatniej doby Stanisław Brzozowski napisał godny uwagi djalog p. t. „Katarakty", a Wacław Grubiński *filozofję* w jednym akcie p. t. *Djogenes z Synopy i Aleksander Wielki, albo Sławienie próżniactwa* (grana w Rozmaitościach w 1915 r. przez pp. Frenkla, Osterwę i Rolanda).

Redakcja naszego pisma zwróciła się do autora *Djogenesa*, aby zechciał ofiarować *Pani* cykl djalogów, w przeświadczeniu, że w dziedzinie djalogu trudno jest dzisiaj rywalizować z twórcą *Kochanków*, *Lenina*, *Pięknej Heleny* i wreszcie, tak niedawno oklaskiwanej w Teatrze Polskim, *Lampy Aladyna*. W odpowiedzi Wacław Grubiński nadesłał nam *Rzecz zdrową* i rzecz tę nazwał pierwszym djalogiem z cyklu, zatytułowanego *Djalogi tańcujące*. *Rzecz zdrowa* ukaże się w najbliższym zeszycie *Pani*, ilustrowana przez p. Gronowskiego, artystę-malarza, jak powszechnie wiadomo, nietylko pełnego talentu, lecz również pełnego wykwintnego smaku.

⁂

WIELKI DZIENNIK TYGODNIOWY „LES NOUVELLES LITTÉRAIRES, ARTISTIQUES ET SCIENTIFIQUES" zamieścił w jednym z ostatnich numerów sylwetkę literacką Cezarego Jellenty (pióra znanej pisarki francusko-polskiej p. Marji Kasterskiej). Autor polski scharakteryzowany tam został jako symbolista, wywodzący się z linji Cyprjana Norwida. Trafnie wyróżniono też niektóre punkta bogatej działalności Jellenty, a powieści „Linie Hofera" i „Jasny Hubert", oraz krytyki zaliczono do najświetniejszych w polskiej literaturze. Również podnoszą „Les nouvelles littéraires" oryginalną ideę druidyzmu w zastosowaniu do Juljusza Słowackiego, oraz koncepcję prometeizmu poetyckiego w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku.

⁂

KSIĄŻKI CIEKAWE. W Książkach Ciekawych ukazał się ostatnio zajmujący romans Antoniego Ossendowskiego p. t. „Za chińskim murem".

Znany i rozgłośny podróżnik rzucił tu na egzotyczne tło Wschodu szereg oryginalnych typów, dał fabułę intrygującą i opisał przy tej sposobności chińskie zwyczaje, nieznane przeważnie europejczykom. Cała akcja ześrodkowała się jednak na romansie dyplomaty z piękną hrabiną włoską, romansie pełnym ekstatycznych uniesień i perfidji ze strony tej kobiety. Ossendowski, znany dotychczas jako podróżnik, daje się tu poznać jako powieściopisarz bardzo zręczny. Obok bowiem akcji powieści, żywej i zwartej, utwór jego posiada karty przepięknych opisów, które mogły wyjść tylko z pod pióra autora tak obytego ze Wschodem, jak właśnie Ossendowski. To też romans jego „Za chińskim murem" należy zaliczyć do najbardziej udatnych jego książek.



Ś. p. KONRAD OLCHOWICZ

Dn. 21 czerwca b. r. zasnął w Bogu jeden z najlepszych synów Polski, redaktor naczelny „Kurjera Warszawskiego" ś. p. Konrad Olchowicz.

Zmarły był jednym z tych pracowników na niwie społecznej, którzy na każdy zew Ojczyzny stawali zawsze gotowi do czynu.

Jako kierownik nawy redakcyjnej był prawdziwym ojcem dla swych współpracowników, i potrafił wytworzyć śród nich nastrój rodzinnej zażyłości. Zawsze gotowy do wszelkiej współpracy, żywo odczuwający zarówno bóle jak i radości tych z któremi pracował, wystawił sobie już za życia pomnik w sercach swych bliskich.

Powołany przez Boga, zbyt wcześnie opuścił placówkę dziennikarską, na której od lat wielu, jak czujny żołnierz, stał zawsze gotowy bronić sprawy ojczystej.

Za trumną zasłużonego społecznika szedł do grobu powszechny żal i smutek.

Cześć Jego pamięci!

KSIĄŻKI I CZASOPISMA NADESŁANE DO REDAKCJI:

Wydawnictwa Wielkiej Bibljoteki. Warszawa— Instytut Wydaw. *„Bibljoteka Polska"*

J. I. Kraszewski: Historja o Janaszu Korczaku i pięknej Miecznikównie. Powieść.

William Shakespeare: Juljusz Cezar. Dramat. Spolszczył Jan Kasprowicz.

Eurypides: Ifigenja w Aulidzie. Przełożył Jan Kasprowicz.

Jerzy Gordon lord Byron: Korsarz. Przekład A. E. Odyńca

Juljusz Słowacki: Mazepa. Tragedja w pięciu aktach.

Molier: Mizantrop. Komedja w 5-ciu aktach. Przełożył Boy

Franciszek Zabłocki: Fircyk w zalotach. Komedja w trzech aktach.

Zygmunt Krasiński: Psalmy przyszłości.

Juljusz Słowacki: Do autora trzech psalmów.

John Keats: Hyperjon. Przełożył Jan Kasprowicz

Persy Bysshe Shelley: Epipsychidjon. Przełożył Jan Kasprowicz.

Jan Wolfgang Goethe: Elegje Rzymskie. Przełożył Staff Leopold.

Seweryn Goszczyński: Król Zamczyska Powieść.

William Shakespeare: Romeo i Julja. Spolszczył Jan Kasprowicz. Lady Makbet. Tragedja. Spolszczył Jan Kasprowicz.

Jerzy Meredith: Historja Generała Ople i Lady Camper, wydawnictwo „Ignis" 1924.

Roman Leitgeber: Listy z H-lu z 8 ilustracjami i mapą wybrzeża. Wielkopolska Księgarnia Nakładowa, Karol Rzepecki. Poznań 1924 r.

Antoni Ossendowski. „Cud Bogini Kwan-Nou." Z życia Japonji. Wielkopolska Księgarnia Nakładowa. Karol Rzepecki Poznań. 1924 r. „Za Chińskim Murem". Romans Wyd. „Książki Ciekawe". Warszawa, 1924 r.

Pisma Bolesława Prusa: „Faraon". Tom III. Bibljoteka „Tygodnika Ilustrowanego".

J. Stycz. „Czarny Pies". Powieść. „Lektor" 1924 r. „Otwarte Oczy". Poezje. Wyd. „Gospody Poetów".

Tadeusz Żeleński (Boy). „Molier" Bibljoteka Historyczno - Literacka. Warszawa 1924 r. Instytut Wyd. „Bibljoteka Polska".

Lirycy Francuscy. „Wybór Poezyj". Wyd. Leopold Staff. Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska".

Balzac. „Komedja Ludzka" — „Jaszczur". Przełożył Boy. Warszawa. Nakładem „Bibljoteka Boy'a.

Tadeusz Meyerhold. „Arlekinada". Cykl fragmentów karnawałowych.

Czasopisma polskie: „Blok" Czasopismo awangardy artystycznej Nr. 3/4, Warszawa 1924 r.; „Świat" Tygodnik, Warszawa; „Tygodnik Ilustrowany" Tygodnik Warszawa; „Bluszcz", Tygodnik Warszawa; „Młody Robotnik". „Tyg. Przemysłu i Handlu". Tygodnik — Warszawa; „Nurt"; „Twórczość Młodej Polski"; „Orle Loty"; „Głos Rezerwisty"; „Sztuka i Artysta"; „Ekran i Scena"; „Stadjon"; „Kobieta"; „Południe"; „Kultura Słowiańska"; „Nowe Drogi" — Łódź; „Przegląd Warszawski"; „Lot Polski"; „Przegląd Polityczny", Dwutygodnik, Zeszyt 6; „Ilustracja", Tygodnik, Zeszyt 1, Warszawa; „Stolica" Dwutygodnik, zeszyt 2, Warszawa; „Lewart" Tygodnik, zeszyt 1, Lubartów.

Czasopisma francuskie: „La Femme de France", Paris; La Revue „Eve", Paris; „Chiffons", Paris; „Le Théâtre et Comoedia illustré", Paris.

Czasopisma włoskie: „Lidel" Milano; „La Donna" Milano.

teatr

ŚRÓD TEATRÓW PARYSKICH. Odrazu łączę „Przybytki Melpomeny" — przybyło ich w ostatnich czasach w Paryżu kilkanaście jeśli nie kilkadziesiąt — z wielkiemi teatrami Variétés, które dla więcej muzycznego brzmienia, zwą się „music-hallami". Rozdzielać je bowiem, to znaczyłoby popełniać niesprawiedliwość względem tych ostatnich, zaś oddawać niezasłużone honory teatrom dramatu i komedji, które w przeważnej swej ilości czynią wszystko co można, ażeby wyglądać raczej na świątynię Merkurego.

Takie to już prawo wielkiego miasta, że zawsze i wszędzie wysuwa ku widzowi swe chciwe macki. Musisz płacić za to, że ci wskazano miejsce, które przecież do ciebie należy, i musisz płacić za to, że w programie firma Citroën ogłasza swoje auta, Pinaud swoje perfumy, zaś któraś tam restauracja swoje ostrygi i homary. Musisz płacić za druk trójbarwny i welin kredowy prospektów, wreszcie za każdy szczegół ubrania, które zostawiasz w szatni. Całe szczęście, że nie zostawiasz guzików.

Pod tym względem różnic niema. Ani *Comédie française*, ani nawet *Opera*, gdy wystawia Parsifala i uroczystość wieczoru zaznacza frakami, nawet dobrze skrojonemi, kontrolerów i woźnych (ci są w stylowych, tradycyjnych pończochach), ani ideowy *Vieux Colombier* z miną spartańską — nie ustąpią nic z swoich praw do różnorodnych podatków, ściąganych od publiczności.

Ale nie trzeba brać tych rzeczy ani do serca ani wątroby. To wieczny common sens — bez którego niemasz wielkich organizacyj i olbrzymich przedsięwzięć artystycznych. Paryż jest pod tym względem szczery, otwarty, realny, jak cała jego produkcja artystyczna. Gdy przenikam jego ekonomję — to lepiej rozumiem i styl gry i reżyserję przedstawień — ten szlachetny, czysty naturalizm dykcji i frazowania. W teatrach odciętych od starego pnia konwenansu i retoryki, sama mowa zwykłych artystów jest roskoszą.

Cóż dopiero, gdy Jacques Capeau gra wicekróla peruwiańskiego w „Karocy dla świętych sakramentów" Prospera Mériméego i ze skromnych desek *Starego gołębnika* czyni estradę wspaniałego, iście królewskiego tonu, żartu, gniewu, namiętności? Albo gdy Lucien Guitry (ojciec) całą skalę bólu obrażonego męża i osieroconego kochanka, całą złość dla wiarołomnej żony i miłość dla dziecka z lewego łoża, wypowiada bez jednego ćwierć tonu patosu lub deklamacji, a przecież wzrusza do głębi? Co za cudowna gradacja akcentów i ekspresji! Wielki artysta, mężczyzna, król stworzenia, niezrównany szczerze mowy francuskiej. Ale czyż tylko on? Czyż takimi samymi szczerzami nie są wszyscy inni? Czy głośny Signoret w *Comédie Caumartin* mniej zadziwia niż tamtem w *Wo dewilu?* Tamten ma pomóc do przeprowadzenia tezy, że zamiast jednego niekochającego się już małżeństwa lepiej, żeby Francja miała dwie pracowite choć nielegalne sypialnie, żeby i mąż i żona każdy na swoją stronę powstrzymywali depopulację. (Après l'amour — Wolfa i Duvernois). Ten zaś, Signoret, budzi salwy śmiechu, jako prokurator najwyższego trybunału, nie roześmiawszy się sam ani razu, nie wychodząc z fasonu ani na sekundę.

Sztuka sama mogłaby być u nas śmiało graną. Jakże piękna jest ta sytuacja, gdy sztywny dygnitarz sądowy nie może zrozumieć, aby stenotypistka, którą spotyka w domu syna, była jego synową. Jak młodzi oszukują go i jak w końcu syn, dostawszy od ojca mnóstwo pieniędzy na zlikwidowanie rzekomych miłostek, żeni się w końcu na własne jego życzenie z własną swoją żoną. Tu wszyscy grają, nie grając, tu wszystkim w pomoc przychodzi czysty, wesoły kult mowy francuskiej, którą się haftuje, pointe'uje, cieniuje i z którą się różne niedziwne dziwy wyprawia, nie uciekając się prawie wcale do koziołkowania, do akcji pola wyścigowego lub sali bilardowej. Aktor francuski tylko wydobywa z tekstu wszystką treść i to jest jego tajemnicą, tylko przędzie nić pięknej mowy i tem daje satysfakcję. U nas — mowę się szpeci, kaleczy, nie wymawia się kilka spółgłosek, a frazesy wymawia nieraz jakgdyby mowa polska należała do najgminniejszych.

I to samo w teatrach kabaretowych. Kult mowy prostej i naturalnej ale bogato modelowanej lśni nawet w teatrzyku *Deux ânes* (Dwa osły). Część druga, rewiueta, jest strasznie wesoła i zabawna, ale weselsze i dowcipniejsze rzeczy widuje się w Qui pro Quo. Za to część pierwsza, którą wypełniają chansonierzy, jest szczytem artyzmu. Tu się dopiero widzi wyższość muzykalności Francuzów, w porównaniu z Niemcami. Każda melodja jest ze zdaniem i zwrotką spleciona jak miłosnemi ramionami. Wszyscy pieśniarze mają głosy — to znaczy: żaden niema głosu śpiewaczego, ale jakże swym materjałem operuje! A tapeur? Niby nic, — a na finał wysokie si najszlachetniejszego brzmienia. Tych pieśni nikt nie napisał, nikt nie skomponował, nikt nie wysiadywał, nie ciąży nad niemi niczyje cielsko żmudy; są lekkie, dowcipne, mądre, urodziły się same, szczęśliwe bastardy wielkiego genjusza Monmartru.



P. MARJA STROŃSKA

P. Marja Strońska objęła z zastępstwie chorej p. Malickiej rolę „Kropeczki" w „Świerszczu za kominem" i, mimo paroletniej przerwy (kreowała tę postać w 1917 roku, w teatrze Artystycznym), odegrała ją z wielką siłą wyrazu, zdobywając uznanie prasy i publiczności

To samo potwierdzają i inne teatrzyki i teatry, takie jak *Athenée, Edouard VII, Les Capucines, Cora* i t. d. Jest ich tyle, że nie uwierzylibyście, gdybym twierdził, że byłem we wszystkich. Na to potrzebaby conajmniej, prawdziwych napoleońskich Stu dni.

Zastanawiającem jest, że i operetka opiera się na takich samych przedewszystkiem subtelnościach mowy. Alboż to są śpiewacy? Np. w *Teatrze Daunou* (przy ulicy Daunou). Wobec nich nasze gwiazdy operetkowe i operetkowi premjerzy uważani byliby za marnotrawców głosu. Tu trzeba tylko umieć rysować kwestje lub strofy jak suchą igłą (pointe sèche). Tańce, shimmie? Są tylko zlekka markowane; nie przestają być nigdy dalszym ciągiem estetyki salonu.

W Operetce „La gosse de riche" Yvaine'a (Coś niby: Posażny podlotek) elegancja z prostotą na scenie tworzą związek, rywalizujący z elegancją w krzesłach. W odwiedziny do muzy lekkiej chodzi się bowiem świątecznie, jak do komedji francuskiej, lub *Théotre national de l'Opera*, to znaczy, że na każdych dwóch widzów w krzesłach czeka jeden samochód.

Ale gdzie są te krzesła? Jest ich strasznie mało. Same balkony i galerje. Z „dwudziestu kroków wzdłuż i wszerz" zrobiono scenę, widownię, foyer... Przepraszam, foyer jest na ulicy. Tam panowie we frakach, a panie z boskiemi dekoltami—palą papierosy.

Eksperymentalny teatr *L'Atelier* na samym Montmartrze jest jednym z niewielu, którym zależy na nowych formach inscenizacji i struktury scenicznej. Paryż w gruncie rzeczy nie lubi symbolistów, choć tylu genjalnych wydał. Trzeba zobaczyć, jak teraz wyszydzają klub Huysmans'istów i wszystkie wogóle kapliczki literackich modernistów. Nawet Jacques Copeau skarży się na brak wdzięczności, choć przecież jego teatr tyle innych odświeżył — i wyrusza w świat, jak szeroko tłumaczy w „Nouvelles littéraires" („Wiadomości literackie").

Ale nie trzeba sądzić, że tu, w bliskości zdrowego rozsądku i jego konserwatyzmu, niema ryzyka, niema hazardu i niema szaleństwa. Owszem, Pirandellę i jego „Sześć postaci" przyjmują z entuzjazmem. Na balet rosyjski wysilają się wspaniali malarze i dekoratorzy w wielkim teatrze na *Champs Elysées*. Oryginalna koncepcja zawsze weźmie nagrodę.

Teatr paryski,—to wszystko małe i wszystko wielkie, to jednoaktowa impresja i majestatyczny tors Parsifala. W żadnym teatrze niemieckim nie śpiewają tak. jak tutaj—wielkiego pokutnego dzieła Wagnera. Nigdzie tak nie są żądni oglądania zbliska klasycznych, dostojnych zespołów obcych. Zaprosili cały wiedeński Burgtheater i całą wiedeńską operę. Będą grali i śpiewali po niemiecku—tu w Paryżu, słyszycie? W Paryżu ubóstwiany Mozart zagra na swoim zaczarowanym flecie i wywoła z za grobu kamienny posąg Komandora.

A kto jeszcze większych pragnie szaleństw i wzlotów wwyż — niech zobaczy, jak wszystkie wielkie teatry otwierają swe wrota muzyce, zwłaszcza muzyce przyszłości. Jaki tu orgiazm sztuki wielkiej!

Paryż jest w tym roku pijany bóstwem teatru i muzyki.

Miałem mówić o Music-hallach, i nie powiedziałem nic. A przecież to są widowiska nadzwyczajne, i tak zasobne w środki artystyczno-malarskie, jakgdyby każde zosobna wzięło w dzierżawę całą, jaka istnieje na świecie, nawałnicę barw. Było to zawsze dźwięczne: *Casino de Paris, Folies Bergères*, ale teraz jest już niemal nieprawdopodobne.

Bo i tu obowiązuje prawo nietykalności mowy francuskiej—i smaku we wszystkiem, nawet... w dresurze fok.

Więc może jeszcze słówko o tych igrzyskach, nie olimpijskich, jak tegoroczne, ale napewno ciekawych...

CEZARY JELLENTA

Paryż, w maju 1924 r.



„NIEBIESKI PTAK" W WARSZAWIE
Inscenizacja starej francuskiej piosenki „Le roi a fait battre au tambour"

※

POCHWAŁA WESOŁOŚCI I POCHWAŁA REŻYSERJI. Przed niedawnym czasem, w teatrze Reduta przesunął się przed nami, dzięki staraniom p. Szyllera, staropolski, fidrygalsko-pijacki światek w pieśni i tańcu. Poprzez zestarzałe (niestety) kostjumy i mizerne głosy prześwietlały, jak brylant omazany gliną, niedocenione wartości humoru sarmackiego i zgoła osobliwe fizjonomje naszych pradziadów zawadjaków o czułem sercu i szerokim geście. Przybyły teraz teatr rosyjski „Siniaja Ptica", który również oparł swój program na starorosyjskiej piosence i tańcu, mając znacznie mniej różnorodny, mniej cenny materjał, mógł ucieszyć oczy i uszy widzów o wiele lepszemi wrażeniami artystycznemi. Ale co jest harakterystyczne właśnie u nas, ludzi „o czułem sercu i szerokim geście", że specjalnie umiemy z bardzo „czegoś" nic zrobić, a inni z niczego coś. Artyści rosyjscy pokazali nam szkołę reżyserji. Zwalczyli szczęśliwie monotonję i melancholję pieśni rosyjskiej zapomocą inscenizacji. Żywemi barwami grające kostjumy i dekoracje, znakomita tresura figur, dociągnięcie każdej twarzy aktorskiej do jaknajwytworniejszego typu jest cudowne. Zwięzło'ć ruchu, zjednoczenie z dekoracją, ścisłość wypowiedzenia się—oto arcyzalety, dzięki którym śmignął teatr rosyjski na niedostępną nam wysokość.

Pomimo więc, że piosenki wybrane przez p. Szyllera były o wiele ładniejsze od rosyjskich, zawierały więcej sensu i uczucia—zgasły, prawie że zgasły w niemożliwych warunkach tandety teatralnej, widocznie z powodu trudności pieniężnych.

Gdyby jednak oziębłym oczom publiczności, którą zawsze więcej zachwycać będzie przepyszny paw, aniżeli bury swojski słowik — ukazał ktoś zlekceważonego słowika w mieniących cudnemi promieniami piórach rajskiego fenixa, wtedyby i uszy otworzyły się na jego śpiew.

Byłby to prawdziwy początek polskiego Teatru, którego przyszłość nadchodzi.

Z. STRYJEŃSKA

※



BRUNO WINAWER
autor „Promieni F. F." (Rys. E. Głowacki)

TEATR LETNI. „PROMIENIE F. F." SZKIC KINEMATOGRAFICZNY BRUNONA WINAWERA. Począwszy od pierwszej swej sztuki przez szereg następnych, jak „Księga Hioba", „Roztwór Pytla", „Rycerz z Łabędziem", „Inżynier R. H.", usiłował Winawer za wszelką cenę odseparować się od teatru naturalistycznego. Niechęć jego do tego teatru, niejednokrotnie zdecy-



Fot. Leo Forbert

TEATR „WODEWIL" „MARJETTA"

Scena baletowa w palarni opium

dowanie i jawnie głoszona, miała źródło w stwierdzeniu niedoskonałości aparatu odtwórczego teatru ilekroć przed teatrem stawiano zadanie inne, niepodobne do tego, jakie przynosili z sobą autorzy naturalistyczni. Umysł Winawera, wykształcony na idealnej doskonałości nauk przyrodniczych, buntował się poprostu wobec połowiczności środków, jakimi teatr t. zw. „życiowych prawdopodobieństw" rozporządzał. Ograniczoność środków teatru, wynikająca z ograniczonej ilości ewentualności życiowych, wprawiała go w gniew i oto, naprzekór teatrowi „możliwości" — stwarza on własny teatr — „niemożliwości".

W ucieczce tej od teatru naturalistycznego, od „temacików" — zupełnie „jak w życiu", od tego przebrzydłego artystycznego kopjowania życia, podpatrywania typów nie jest Winawer odosobniony w literaturze dramatycznej ostatniej doby. Już przyjęła się „paradoksalność" Shaw'a i stała się niemal klasycznem zaprzeczeniem minionego teatru francuskiego. Anarchiczność pomysłów scenicznych czy to Andrejewa (filozof w cyrku — „Ten, którego biją po twarzy"), czy Cherstertona („Magja"), czy wreszcie Wedekindowska arogancja pomysłu, matka niemieckiego współczesnego ekspresjonizmu scenicznego — wszystkie te minione już objawy zrewoltowanego stosunku autorów dramatycznych do rzeczywistości sprawiły, że miejsce tych właśnie „życiowych możliwości" na scenie zajęła nieograniczona, nieokiełznana fantastyczność pomysłu, najdalej posunięta pogarda dla „psychologizmów" i, co za tem idzie, najswawolniejsza parodja rzeczywistości.

Pirandello, Jules Romains, Czapek, Jewreinow, sztuki których widzieliśmy w Warszawie, przekonywują o zdecydowanej woli najnowszych pisarzy zerwania z zadaniem, które zostało im narzucone przez niewybredną publiczność, zdemoralizowaną dawnym teatrem, teatrem kultu aktorskiego, z pominięciem autora.

I ten właśnie protest pisarza przeciw aktorowi — najdobitniej, wypowiedziany u Pirandella — sprawił, że w naszem piśmiennictwie dramatycznem, bardziej od innych zależnem od warunków teatralnych — głos tego protestu był bardziej nikły.

Gdyby chodziło o jakąś analogję Winawera z dzisiejszymi polskimi dramatycznymi pisarzami — nie wahałbym się znaleźć ją jedynie u Witkiewicza. Jedynie on walczy o to samo prawo, którego wyrazicielem są wszystkie sztuki Winawera plus smutek stwierdzania błahości usiłowań ludzkich wobec ogromu zagadnień i możliwości naukowych, czego u Witkiewicza niema.

W stwarzaniu tej odrębnej placówki, niesłusznie odsądzanej przez krytyków od uczuciowości — Winawer z *całym* spokojem, rozwagą i namysłem gromadzi obok absurdalności pomysłu logiczne wyniki raz powziętego założenia. I to rozkładanie, parcelowanie absurdu, odważonego precyzyjnie na najbardziej czułych ważkach rozumu stwarza specyficzną cechę utworów Winawera i przyjemność obcowania z pisarzem mądrym i pobłażliwym.

Stwarza się arcykomiczna sytuacja. Cały utwór, nabrzmiały powagą absurdu, logiką nonsensu, winien działać, jak najlepsze dowcipy, w których lubować się może jedynie mądry i dowcipny człowiek.

Tymczasem, subtelna i irracjonalna niemal pointa takiego dowcipu opowiedziana przez kogoś, przyzwyczajonego do opowiadania niezawodnych „tłustych kawałów" — rozpada się i gnie.

Tak też było i z ostatnią premjerą Winawera „Promienie F. F.".

Doskonała w pomyśle, arcyzabawna warszawska rzeczywistość „a rebours" — podana została w sosie zawiesistych zrazów z kaszą... Rezultat zgóry wiadomy.

Sztuka, polegająca na reżyserji, na znalezieniu dowcipnego wyjścia dla obłąkanej mary śpiącego referenta, została przyozdobiona w tramwaj, nagie, „dzikie damy". Reżyserja była przekonana, że tak niezawodne „kawały" pomogą sztuce i nie zatroszczyła się już wcale ani o obsadzenie sztuki, ani o wykonanie i oprawę sceniczną...

Inaczej być nie mogło! Teatr warszawski, wychowany na przedpotopowych metodach, deprawowany maszynami wszelakiego rodzaju, nie jest w stanie udźwignąć dowcipu, lżejszego od p. Chaveau w pyjamie.

Jedynie Jaracz zrozumiał swą rolę. Włożył w nią żarliwość obłąkania (szkoda że nie użył tych samych argumentów wobec Dyrekcji, która obdarzyła go nieprawdopodobnymi partnerami), natchnienie prawdziwego wynalazcy i naiwną bezradność wobec druzgocących, niezbitych dowodów, że to wszystko tylko gra i udawanie. Sam był już bliski uwierzenia, że istotnie można przesunąć szerokość geograficzną Warszawy!

O, Boże, gdyby to było istotnie możliwe — jak wdzięczni bylibyśmy Winawerowi!

j. br.



F. M. Fuchs

Urocza „papużka" p. Z. Pogorzelska w rewji „Pipman Szaleje". Teatr Nowości

PIPMAN SZALEJĄCY. Zeszły się dwa „ogórki": czas feryjny w „Qui pro Quo" i kanikuła w Nowościach na scenie teatru przy ul. Bielańskiej i, oczywiście, nie urodziły nic ciekawego. „Pipman szaleje", to typowe zmęczenie—upałem, no i sanacją, stabilizacją i asymilacją. Paryż skąpany w sosie żargonowym nie poznał siebie i nikt go nie poznał. Zwłaszcza, że ci z artystów, co mieli zadanie najwdzięczniejsze, n. p. p. Pogorzelska romantyczna papuga i p. Bodo jako prestidigitator, wykonywali numery niemające nic wspólnego z całością Revue. Zresztą tej całości nie było, była wesoła, niezawsze — łatanina, w której doskonały zespół Qui pro Quo, z Tomem na czele, zasilony nawet ładnym śpiewem p. Chorjana i niedobitkami z trupy p. Hellera — nie mógł się „wyznać", jak pięknie mówią prawodawcy małopolscy. Paryż więc nie „zaistniał" wcale.

*

MARJETTA. W przeciwstawieniu do „Pipmana" — fragment daleko prawdziwszego Paryża dała operetka „Wodewil". Cała wkładka p. t. „W palarni opium", ułożona podobno przez p. Własta, zapożyczona została z Folies Bergères i wystawiona z przepychem iście nadsekwańskim. Prawda, że niektóre biusty były więcej nagością swą śmiałe, niż kształtami piękne, że niejeden „Wicek i Wacek",

jak ktoś dowcipnie nazwał piersi kobiece, był zbyt ciężkiego kalibru, ale w ogólnej fantasmagorji świateł i kostjumów widać było, że je ktoś przeszmuglował z autentycznego Paryża. Wpływ paryskich music-hallów znać też było i z aparycji pań: Niewiarowskiej i Sokołowskiej, złożonej z nagości niekompletnej, a więc naprawdę estetycznej, i ozdób na głowach odpowiednio niebosiężnych.

Sama operetka Waltera Kollo potroszę zeszła wobec tych wspaniałości na drugi plan, a potroszę wstała zrehabilitowana, jest bowiem organicznie słabą i dyr. Szczawiński, zawsze przytomny i zabiegliwy, wiedział, że ten cienkusz trzeba wzmocnić alkoholem. Ostatecznie też „Marjetta" stała się widowiskiem bardzo malowniczem, o wystawie okazałej i dającej do myślenia, że p. Szczawiński podałać umie i najtrudniejszym zadaniom. Widoma też tu była pomoc dobrego malarza w rozwiązaniu kwestyj kolorystyczno-kostjumowych.

Jedno słówko o treści, i drugie o muzyce. Piękna prawdziwa sprzedawaczka pomarańczy wzięta została za księżnę, która miała właśnie ukazać się w przebraniu „pomarańczarki"; oryginał demokratyczny wzięto za arystokratyczną maskaradę. Obie panie gwiazdy „Wowewilu" były pełne wdzięku, a w dodatku p. Niewiarowska czarowała werwą. Do uświetnienia zabawy przyczynili się: Rufin Morozowicz, w nowej odmianie Menelausa bardzo lekko tańczącego, oraz Redo, Szczawiński, Luziński i kapelmistrz Kochanowski.

Walter Kollo jest muzykiem — tego mu odmówić nie można. W Marjecie odważa się nawet na kilka partyj muzycznych o większym rozpędzie, jak np. walc w drugim akcie. Ale ten znacznie więcej obfituje w reminiscencje niż w inwencję.

Z powodu niesłychanej ciężkości czasów „Wodewil" był niemożliwie przepełniony publicznością i samochodami.

CEZARY JELLENTA



„WYWCZASY DONŻUANA" KAZIMIERZA WROCZYŃSKIEGO
Teatr miejski w Łodzi

TEATR MIEJSKI W ŁODZI grał w maju r. b. najnowszą komedję pióra Kazimierza Wroczyńskiego p. t. „Wywczasy Donżuana". Autor „Dziejów salonu" i „Onej" ostatni swój utwór owiał atmosferą pogody i przemiłego humoru. „Wywczasy Donżuana są lekką komedją, gdzie, ostro narysowane i jakby w krzywem zwierciadle odbite, typy ludzkie pozostają ze sobą w dość drażliwych stosunkach.

Treść jej wzięta wprost z życia, podpatrzona bystrem okiem obserwatora, ujęta zgrabnie talentem człowieka świetnie ze sceną obeznanego. Djalog toczy się wartko, miarowo i dowcipnie pnie się ku szczytom linja konfliktu.

Jeżeli idzie o sprawdzian zewnętrzny, to trzeba zaznaczyć, że widownia przez cały czas miło się uśmiecha, wybuchając często śmiechem. „Wywczasy Donżuana" przyjęte zostały przez prasę i publiczność łódzką z wielkiem uznaniem i cieszyły się przez szereg wieczorów olbrzymiem powodzeniem. Po akcie trzecim autorowi i dyrektorowi teatru jednocześnie urządzono wspaniałą owację kwiatową.

Wszyscy artyści wywiązali się ze swych ról nietylko bez zarzutu, ale i często bardzo dobrze. Komedja ta w najbliższym czasie wystawiona będzie w Teatrze Letnim w Warszawie.

Z TEATRÓW LWOWSKICH. Dwie premjery urozmaiciły w ostatnich czasach repertuar teatrów lwowskich i dały powód do głębiej sięgających, nieraz rozbieżnych, krytycznych roztrząsań.

Pierwszą z tych sztuk jest „Żona Hassana Agi", dramat zmarłego niedawno poety jugosłowiańskiego Ogrozovića, czerpiący temat swój z chorwackiej pieśni ludowej.

Dramat ten nie znalazł uznania w oczach części krytyki, która, opierając się prawdopodobnie na danym mu przez teatr lwowski niezadawalającym kształcie scenicznym, odmówiła sztuce większej wartości Niesłusznie, gdyż oblicze żywej, prawdziwej poezji, kunszt dramatyczny efektowny i kulturalny wyłaniał się z poza gęstego, przysłaniającego woalu przedstawienia.

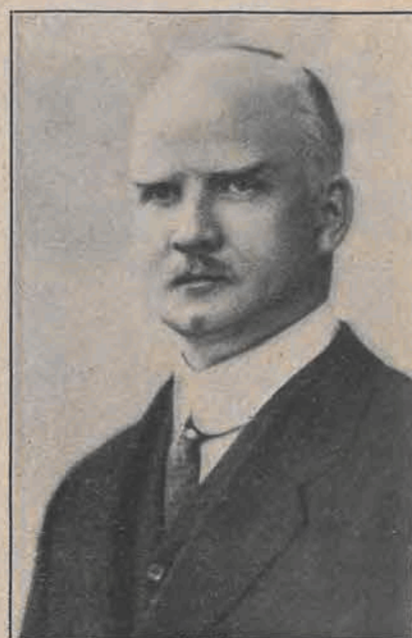
Sztuka Ogrizovića jest wielostronnie i wartościowa i efektowna. Epicko-obyczajowa część, ściśle z dramatycznym wątkiem związana, pociągać może wielki teatr, lubujący się w rozwiązywaniu barwnych, obfitych, dekoracyjnych zagadnień. Treść jest naprężająca, pełna dramatycznej energji. Dusze nastrojone są na ton najwyższego wewnętrznego wysiłku. Pod kostjumami kryją się i okazują prawdziwi ludzie, w żywem, pełnem powietrza środowisku zmagają się ludzkie serca, krwawiące się w milczeniu. Jest to dramat hardych dusz, niewypowiedzianych uczuć, milczenia narzuconego przez dumę.

Tragedja Zygfryda i Brunhildy. Małżonkowie Hassanaga i Hassanaginica stworzyli sobie ideał miłości najwyższej, żądającej wszystkiego, zaborczo wyłącznej. Wszelkie żądanie, prośba, tłumaczenie byłoby ubliżeniem dla serca własnego i dumy. Głos miłości bez słów powinien dochodzić, poprzez oddalenie, przebijać i wyjaśniać milczenie. Miłość sama ma przemówić; pomoc słów ubliża i poniża.

Ten ton najwyższy sprawia, że serca najbliższe, tęskniące ku sobie, rozchodzą się w męce i bólu, choć jeden gest niewykonany — złączyłby je nazawsze. Są to dwie samotne tragedje dwojga silnych ludzi, w których uczucie zmaga się z dumą. Ideał, przekraczający ludzką miarę, zrealizować się może—poza życiem. Dopiero w chwili gdy śmierć sięga po Hassanaginicę, mał-



KAZIMIERZ WROCZYŃSKI
autor „Wywczasów Donżuana"



EMIL MŁYNARSKI
dyrektor opery warszawskiej

żonkowie wyznają sobie nieziemską moc swej miłości, którą zadawali sobie śmiertelne rany. Posiadanie najwyższe, ostateczne staje się możliwem dopiero w obliczu śmierci.

Z pośród grających tę sztukę zasługuje na wymienienie *pani Barwińska*, która grała rolę Hassanaginicy ze szlachetnym umiarem, docierając w wielu momentach do prawdziwej głębi uczucia.

* * *

„Myśl" Andrejewa—druga ze wspomnianych na wstępie sztuk — jest udramatyzowaniem niesamodzielnem, niewystarczającem — choć dokonanem przez autora — noweli tego samego pisarza. Przepastnie trudną jest rola d-ra Kerżencewa — zimnego, zdawałoby się, analityka, którego samotność, nieszczęśliwa miłość, ustawiczna wewnętrzna wiwisekcja doprowadzają do morderstwa, do zwątpienia o wszystkiem, o sile własnego rozumu, który uważał się za wszechpotężny. Domaga się ona zupełnie nowych wyrazów scenicznych, produktów genjuszu, o ile ma się dotrzeć do głębi problemu. Kerżencew udaje obłąkanego, by zamordować męża kochanej przez siebie, nieszczęśliwej kobiety. Rozważającemu czyn swój mordercy nasuwa się wątpliwość: czy może plan morderstwa, zimna konsekwencja i doskonałość udania nie są wynikiem — prawdziwego obłąkania? I wątpliwość ta doprowadza go — do obłąkania rzeczywistego. Światełko myśli, tak zrazu dumnej i pysznej, zagasa. Świat zalewają żółte, zdradliwe mgły. Problem z zawartemi w nim wątpliwościami, grząskością gruntu psychicznego, końcową negacją jest zupełnie niedramatyczny.

P. *Żytecki*, który reżyserował sztukę, grał rolę dr. Kerżencewa. Grał ją wyłącznie po aktorsku; oderwał ją od gruntu problemów i przeżyć postaci, ograniczył się do bardzo zresztą inteligentnych, precezyjnych aktorskich wyrazów-ogólników. Przedstawił zrazu obraz—ogólnikowy—człowieka silnego i smutnego, później dał—można powiedzieć — wirtuozowski popis sceny obłąkania. Niezbyt wielu jest u nas aktorów, którzyby scenę obłąkania oddać potrafili w sposób tak prawdziwy, urozmaicony, umiejętnie skonstruowany, miejscami groźny. Ale, gdy człowiek obłąkany w interpretacji genjalnej Adwentowicza — Oswald Alwing z „Upiorów", czy „Ojciec" Strindberga — to właśnie i jedynie ta dana postać, która w walce tragicznej z ogarniającemi ją ciemnościami rozwija najgłębsze, najskrytsze, najboleśniejsze tęsknoty swej duszy — u Żyteckiego dr. Kerżencew był obłąkańcem ogólnikowym, nie tym jednym człowiekiem, którego pokazuje nam Andrejew. P. Żytecki do głębi prawie że niedostępnej problemu nie dotarł, lecz dla wysokiej miary aktorskiego kunsztu, wykazanego w tej roli, zasługuje na wielkie uznanie.

WŁODZIMIERZ JAMPOLSKI



LOUISE LLEWELLYN JARECKA
znakomita interpretatorka pieśni polskich w Ameryce



TADEUSZ JARECKI
(Rys. Gastona Gwozdeckiego)

muzyka

EMIL MŁYNARSKI, dyrektor opery warszawskiej, jedyny dyrygent, który ma za sobą publiczność całkowitą i wobec którego milkną zwykłe dysonanse natury towarzyskiej i politycznej—zwiększył swój dorobek kompozytorski. Już z powodu wykonanej przez orkiestrę Filharmonji symfonji Emila Młynarskiego mieliśmy sposobność wypowiedzieć kilka słów wyraźnie pochlebnych, teraz zaś, po wystawieniu opery „Noc letnia", dodać możemy pochwałę dla znakomitego talentu orkiestracyjnego.

Mam wrażenie, że Młynarski, po dłuższej przerwie wróciwszy do pracy twórczej, nie uderzył odrazu w ton najmocniejszy, lecz zaczął od kompozycji mniej intensywnej, zawczasu zresztą skazanej na pewną anemiczność przez libretto niedość tęgie i fascynujące.

W chwili obecnej Emil Młynarski zaczyna podlegać losowi wszystkich ludzi o wyższej kulturze artystycznej i wyszkoleniu w pracy. Pojawiają się i coraz głośniej krzyczą ci, co uważają,że każdego takiego człowieka po dwóch latach działalności trzeba koniecznie „wysadzić z siodła". Wysadzacze podobno się już nawet zorganizowali. Robota ich wkrótce pewnie przybierze charakter naganki. Obyż się to stało czemprędzej! Wszelka jawna naganka zawsze jest testimonium paupertatis dla naganiaczy i — przeciwnie—dowodem wybitności i talentu upatrzonej ofiary. Z naganki tej niewątpliwie dyrektor Opery warszawskiej wyjdzie cało.

Nieraz, nawet z pod piór brzydzących się wszelką konspiracyjną robotą w rzeczach sztuki — wychodziły słowa krytyczne lub złośliwe pod adresem Emila Młynarskiego. Jednak dowcip złośliwy, a godzenie w talent to dwie rzeczy różne. Podobnie dwiema rzeczami różnemi są osobiste żale lub zawiści—a godzenie w ciągłość pracy opery, której dotkliwszego ciosu zadać nie można, jak przez politykę wysadzania z siodeł.

Młynarski nie umiał może dość energicznie walczyć z finansowym rozgardjaszem naszych stosunków i wstrętem do poważniejszej muzyki, panującym u nas nagminnie, ale czyż np. Filharmonja umiała walczyć? Czy wogóle z temi chorobami można się borykać? Muszą one same ustać i ustaną, gdy wróci normalny ład życia.

C. J.

BENVENUTO FRANCI — głośny śpiewak baryton włoski, wstępnym bojem zdobył sympatję publiczności operowej, a samą operę dzielnie przed jej ułożeniem się do letargu letniego galwanizował. Wielką zaletą Franciego jest świeżość i żywość typu, jako artysty, przez nią bowiem związał się odrazu z widownią kontaktem gorętszym. Zapanowała w sali Teatru Wielkiego atmosfera sympatycznego choć nieco mało krytycznego entuzjazmu.

Głos Benvenuta Franci należy niewątpliwie do najpiękniejszych, jakie słyszeliśmy. Ma w sobie metal, wspaniale dźwięczący, i jest znacznej siły. Jako Rigoletto śpiewak ten robi rzeczy wybitne. Jako Cyrulik Sewilski, zwłaszcza w wielkiej arji aktu pierwszego, zadziwia ponadto i giętkością głosu. Jednak jako aktor, w partji tej nie dorównywa Wacławowi Brzezińskiemu pod względem smaku, wdzięku Figarowego i umiarkowania w swawoli. Oczywiście zestawienie to dotyczy tylko gry i inteligencji artystycznej. Jako śpiewak, Franci posiada mnóstwo zalet rasy swojej, z niesłychaną swobodą obraca się w rejestrze górnym aż do tenorowego, pięknie parlanduje i zdobi arje klejnocikami kadencji, zawraca śpiew do jego naturalnego źródła, silnej dramatycznej mowy. Może nawet improwizuje akcenta. Wtem jest jeszcze nieustatkowany i nie wyobraża jeszcze wielkiej stylowej szkoły barytonów jak Battistini, Stracciari, Titto Rufo i im podobni.

Jest to, jak w „Balu maskowym" i Prologu „Pajaców", wielki, bujny talent, ale jeszcze nie wielki mistrz.

CEZARY JELLENTA

✻



SALON CZ. GARLIŃSKIEGO — FIGURKI

Z Wystawy Szkoły Przemysłu Drzewnego w Zakopanem

MUZYKA POLSKA W NEW-YORKU. Trudno o bardziej ożywiony sezon muzyczny jak w New-Yorku, gdzie w powodzi koncertów ukazały się nieomal wszystkie nazwiska słynnych wirtuozów europejskich. Zda się, że Europa przysłała najlepszych swoich przedstawicieli muzyki do tej nowej, może, stolicy świata. Przesuwają się typy artystów różnych narodowości, przynosząc nowe dzieła muzyczne z Angji, Francji, Włoch, Polski, Hiszpanji, Niemiec, Rumunji, Czech i Rosji. Im bardziej modernistyczny i postępowy artysta, tem więcej powtarza się objaśnienie: „po raz pierwszy", dodawane do kompozycji na programie.

Polska jest licznie reprezentowana i wybija się na czoło znakomitością swoich artystów wirtuozów. Naturalnie nasz Chopin dominuje na koncertach pianistów, Wieniawskiego zaś utwory spotykamy na programach skrzypcowych, ale gdzież nasza muzyka symfoniczna, kameralna, lub wokalna?...

Tylu tu wspaniałych artystów polskich: pianistów, skrzypków i dyrygentów, którzy przywieźli do Ameryki w darze mistrzowskie odtwarzanie Beethovena, Lista, Chopina, Schumanna, lub też doszczętnie zgrany repertuar skrzypcowy, ale współczesne dzieła polskie gdzieś zawsze są jakby usuwane. Nawet stowarzyszenia muzyczne z charakterystycznym przydomkiem „International", których celem jest zaprezentowanie utworów europejskich z ostatniej doby, zamieściły tylko raz jeden w ciągu ostatnich dwóch lat polską muzykę na swoich programach, a mianowicie Szymanowskiego „Etudes" na fortepian, a także Tanzmana kwartet.

Trudno sobie wyobrazić moje zdziwienie kiedy, będąc na koncercie danym przez amerykański zespół kameralny, „The Chamber Ensemble of New-York", usłyszałem cały szereg polskich utworów, wykonanych przez kwartet na który składał się głos, skrzypce, wiolonczela i fortepian. Louise Llewellyn, słynna tutaj śpiewaczka o walijskiem nazwisku, śpiewała po polsku i z trudnością można było uwierzyć, że ta wielka śpiewaczka, zdająca się oddychać szczerością i prostotą polskiego uczucia i polskiej pieśni, może nie być Polką. Tak się śpiewa i tak się rozumie tylko pieśni swojego rodzinnego kraju.

A było w programie przeszło dziesięć pieśni polskich, jakby wybranych z kolekcyj ludowych, lub też z pośród naszych najlepszych kompozycyj jak to Karola Szymanowskiego, Eugenjusza Morawskiego, Tadeusza Jareckiego i tylu innych, z których Polska może być dumną.

Słuchając takiego koncertu, trudno się było oprzeć myśli, że może u nas nie wszyscy wiedzą o istnieniu tych pieśni i że tutaj, w New-Yorku, sztuka nasza znalazła odgłos, jaki tylko mogła by mieć we własnym kraju.

Mój sąsiad zwrócił się do mnie z uwagą: — Poland must be wonderful country to give to the world such music. — She is Polish, is'nt she? To ostatnie tyczyło się narodowości śpiewaczki. — No, she is your countrywoman, — była moja odpowiedź, ale z wyrazu twarzy Amerykanin można było poznać, że trudno mu uwierzyć, iż artystka nie jest Polką.

Louise Llewellyn-Jarecka, bo takie jest pełne nazwisko tej artystki, poświęciła od lat wielu swoją sztukę muzyce słowiańskiej, a szczególnie polskiej. Mężem jej jest Tadeusz Jarecki, młody, a już sławny kompozytor, dyrektor Chamber Ensemble of New-York, który pracował nieustannie od czasu powrotu z wojny bolszewickiej, to jest od lat trzech, nad nową formą muzyki kameralnej, łącząc głos ze skrzypcami, wiolonczelą i fortepianem i tworząc w ten sposób kwartetowy zespół, w którym głos jest instrumentem od którego wymaga się skończonego wirtuozostwa pod względem frazowania, intonacji i rytmu.

Jarecki sprowadził z Paryża hiszpańskie trio del Pulgar, wyróżniające się tutaj swojem zgraniem i które zdradza swoją krew południową namiętnością w grze, przy równoczesnie mistrzowskim spokoju w wykonaniu. Całość jest niezwykła.

Piękna artystka, Louise Llewellyn, jest zakochana w muzyce polskiej i na moje szczere komplementy odpowiedziała, że, choć jeszcze po polsku nie umie (miała idealnie czystą dykcję w pieśniach polskich),—jednak kocha Polskę, polską twórczość i jak tylko skończy swoje występy artystyczne w Stanach Zjednoczonych, to potem wraz z Ensemblem jedzie do Europy i z pewnością zawita do Warszawy, — na co ja w imieniu mojego rodzinnego miasta pozwoliłem sobie zapewnić ją o gorącem przyjęciu, jakie jej niewątpliwie Warszawa zgotuje.

New-York w maju 1924 r.

GUSTAW GWOZDECKI



TRÓJCA ŚWIĘTA

Sztuka

KRONIKA ARTYSTYCZNA. Poza „Rytmem", który w zeszycie niniejszym omówiony został na innem miejscu, zasługują z ubiegłego miesiąca na szczególną uwagę dwie wystawy, urządzone w Salonie Garlińskiego, mianowicie polichromji kościoła w Starachowicach, oraz pokaz zakopiańskiej państwowej szkoły przemysłu drzewnego.



PLAKAT A. DZIERZBICKIEGO (I nagroda)



PLAKAT W. HUSARSKIEGO (II nagroda)

Kościołek w Starachowicach, wystawiony u Garlińskiego w modelu plastycznym, zaprojektowany został przez Jana Borowskiego z dobrem zrozumieniem tradycji naszego budownictwa drzewnego. Jego sylweta, o stromym dachu i rozłożystym rzucie poziomym, ma w sobie wdzięk, sentymenty i malowniczość właściwą polskim kościołom wiejskim, a szczegóły dekoracyjne szczęśliwie wiążą się z całością.

Polichromja wnętrza powierzona została pani Zofji Baudouin de Courtenay i Helenie Schrammównie. Artystki w projektach swoich opierają się dosyć ściśle na tradycjach malarstwa bizantyńskiego, zlekka je tylko modernizując pod względem kolorystycznym. Powstaje stąd pewna dysharmonja między typowo polskim stylem budowli, w którym tradycje gotyku wiążą się z reminiscencjami baroku, a charakterem dekoracji malarskiej; powstaje poza tem wrażenie zbyt wyraźnej archaizacji. Sądzę, że należałoby dalsze projekty pod względem stylistycznym bardziej spolonizować i uwspółcześnić; mogłoby to dać ciekawe rezultaty, sądząc na podstawie innych prac tychże artystek, gdzie technika, oparta na tradycjach przedgotyckich, w połączeniu z żywą obserwacją życia współczesnego, wytwarza całość o charakterze zupełnie swoistym.

Pokaz państwowej szkoły przemysłu drzewnego w Zakopanem dowodzi, że szkolnictwo nasze artystyczno-zawodowe wkracza na właściwe tory. Szczęśliwą myśl miało Ministerstwo Oświecenia, powierzając kierownictwo szkoły Karolowi Stryjeńskiemu. Wybitny ten architekt, łączący doskonałe poczucie dekoracyjne z wysoką kulturą, w przeciągu jednego roku uczynił ze szkoły tej to, czem być miała w intencjach założycieli, a czem przez długi czas stać się nie mogła z powodu zupełnie wadliwego pod względem artystycznym i pedagogicznym prowadzenia. Stworzona w r. 1878 dzięki inicjatywie Towarzystwa Tatrzańskiego, szkoła ta miała podtrzymywać i rozwijać tradycje podhalańskiego przemysłu drzewnego. Niestety jednak zrozumienie sztuki ludowej i jej charakteru było w owych czasach zbyt jeszcze nikłe. Zamiast umiejętnego kierowania poczuciem artystycznem ucznia, narzucano mu ideał suchej poprawności, niwecząc w ten sposób całą świeżość i cały wdzięk jego naiwnej twórczości; podsuwano mu pozatem obce wzory, zacierając przez to piętno odrębności rodzimej. Wpływ Stanisława Witkiewicza wprowadził tu dosyć znaczną poprawę, usuwając przedewszystkiem tyrolszczyznę i podkreślając charakter rodzimy i ten jednak wielki entuzjasta, wahający się przez życie całe między skrajnym naturalizmem, a zapałem dla zakopiańszczyzny, nie posiadał dostatecznego zrozumienia techniki, materjału i dekoracji, a przenosząc naprzykład formy drzewne na porcelanę, lub ornamenty haftowane na dekorację drzewną, wywoływał zupełne pomieszanie pojęć w dziedzinie przemysłu artystycznego.

Stanąwszy na czele szkoły, Stryjeński rozpoczął od odrzucenia wszystkich wogóle wzorów, paczących wrodzone i tradycyjne poczucie artystyczne ucznia. Metoda jego polega na umiejętnem wyczuwaniu indywidualności ucznia, jego zalet i wad, na rozwijaniu jednych, a tłumieniu drugich, słowem — na kierowaniu jego rozwojem indywidualnym. Polega ona dalej na opanowaniu techniki i zrozumieniu materjału, wreszcie na wskazaniu zupełnie podstawowych zasad kompozycji i dekoracji.

Otrzymane w ten sposób rezultaty są istotnie doskonałe, zważywszy zwłaszcza, że osiągnięte zostały w przeciągu jednego roku. Dekoracje, wykonywane pod kierownictwem Stryjeńskiego, mają w sobie



ową nieomylność wyczucia ornamentu, właściwą naturom pierwotnym.

Statuetki drewniane, zawsze doskonale wyczute w masie i w proporcji, nacechowane istotnem wyczuciem materjału drzewnego, ujmują swą miękką, gładką powierzchnią. Jeżeli próby kolorystyczne są nieco jeszcze surowe w barwie, to natomiast drzeworyty, oparte na zestawieniu jednostajnych płaszczyzn czarnych i białych, są pod względem dekoracyjnym bez zarzutu.

Jest rzeczą niewątpliwą, że uczeń, wychodzący ze szkoły zakopiańskiej, ma wszelkie dane na dobrego, kulturalnego pracownika w dziedzinie przemysłu drzewnego.

Z dzieł, wystawionych w Zachęcie, na uwagę zasługuje przedewszystkiem „Przegląd kawalerji na placu Saskim" Jana Rosena, wraz z dodanym przez autora szeregiem studjów gwaszowych, przedstawiających wojsko polskie w r. 1810.

Rosen jest przedstawicielem odrębnego zupełnie typu malarstwa, posuwającego realizm do ostatecznego stopnia dokładności zarówno pod względem ścisłości historycznej, jak i technicznego wykonania. Rodzaj ten, wywodzący się bodaj z Gerarda Dow i pokrewnych mu holendrów, reprezentowany był w w. XIX we Francji przez Meissoniera; podobnie, jak malarz francuski, rozmiłowany jest Rosen w obrazach życia wojskowego z epoki napoleońskiej i z bliskiego jej okresu Królestwa Kongresowego. „Przegląd kawalerji" jest popisowem dziełem artysty. Znaczne rozmiary obrazu nie przeszkadzają dokładności wykonania, posuniętej do ostatnich granic. Jest to, w swoim odrębnym rodzaju, dzieło bez zarzutu.

* * *

Z wystaw na uwagę zasługuje ponadto doroczny pokaz Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Szkoła postawiona jest na wysokim poziomie nietylko pod względem

postępów w poszczególnych pracowniach, ale także z powodu planowego kierunku ogólnego, w którym zrozumienie sztuki, jako dekoracji, zdaje się być myślą przewodnią. Tak przynajmniej wnosić wypada z tego, że na dziewięć pracowni pięć poświęconych jest sztuce dekoracyjnej w całości, lub w części, i że w tych właśnie pracowniach panuje największa jednolitość usiłowań. Doskonale postawione jest projektowanie płaszczyzn i brył przez profesorów Jastrzębowskiego i Mieczysława Kotarbińskiego.

Projekty dekoracyjne uczniów, oparte na istotnem pogłębieniu współczesnych zagadnień artystycznych, przekraczają przeważnie poziom prac szkolnych. Toż samo da się powiedzieć o kilimach i projektach wnętrz, wykonanych pod kierunkiem prof. Czajkowskiego. Prof. Trojanowski umiejętnie zapoznaje uczniów z techniką temperową. Prof. Tichy, obok akademickiego „aktu", wprowadza również projektowanie dekoracyj. Tak zwane niegdyś „malarstwo czyste" prowadzi prof. Pruszkowski, a bogaty i swobodny temperament kierownika dodatnio odbija się na poziomie prac uczniowskich, pozbawionych doktrynerstwa i wyjątkowo różnorodnych. Zupełnie europejską kulturę wykazują wreszcie prace graficzne, wykonane pod wytrawnem kierownictwem prof. Skoczylasa. Rzeźba prowadzona jest przez prof. Breyera z istotnem zrozumieniem bryły.

Ogólny kurs rysunku, pod kierunkiem Kotarbińskich, Miłosza i Mieczysława, dopełnia całości, która pozwala spodziewać się po szkole jaknajlepszej przyszłości.

WACŁAW HUSARSKI

❋

EX-LIBRISY JÓZEFA TOMA. 27 odbitek z klisz oryginalnych. Z przedmową Edwarda Chwalewika. Nakładem drukarni L. Bogusławskiego. Skład główny w księgarni F. Hoesicka. Warszawa 1924. Str. 10+6 nl. Tablic 27.

Jak wszystkie prace graficzne Toma, posiadają również jego ex-librisy własny swój typ, w którym wyraźny, prosty pod względem graficznym ornament zręcznie wiąże się z rysunkiem liter, stwarzając umiejętnie sharmonizowaną całość. Książka, reprodukująca cały dorobek artysty w tej dziedzinie grafiki, poprzedzona jest wstępem Edwarda Chwalewika, w którym autor zwraca uwagę, że jest to trzecie dopiero w tym rodzaju wydawnictwo, jakie posiadamy w Polsce. Strona drukarska opracowana starannie.

W

❋

PRZEGLĄDOWA WYSTAWA POLSKIEGO PRZEMYSŁU ARTYSTYCZNEGO PRZED WYSTAWĄ PARYSKĄ. Zarząd T-wa „Zdobnictwo Polskie" w ścisłem porozumieniu z polskim komitetem międzynarodowej wystawy nowoczesnych sztuk dekoracyjnych w Paryżu w 1925 r. organizuje w Warszawie *w grudniu r. b. Wielką Wystawę Polskiego Przemysłu Artystycznego.*

Powyższa wystawa byłaby generalnym przeglądem prac z całego kraju i konkretnym materjałem z którego nastąpi wybór okazów mających być wysłanemi na wystawę paryską.

Zwracamy się do wszystkich artystów, firm wytwórczych i osób pracujących w polskim przemyśle artystycznym z apelem, aby w przeglądzie tym wzięli udział. Dzieli nas bowiem czas krótki od terminu wystawy w Paryżu — kwiecień 1925 r.

Praca w obecnej chwili musi być zdecydowana i intensywna, aby w tym wszechświatowym pokazie stanąć z najlepszemi eksponatami, świadczącemi o naszej kulturze i rozwoju rodzimego przemysłu artystycznego. Komitet wystawy paryskiej, pragnąc ułatwić wykonanie eksponatów na wystawę przeglądową w Warszawie, zaproponował przedwstępną kwalifikację projektów na przedmioty, które na wyżej wymienioną wystawę zostały wykonane. Kto zechciałby mieć takowe wcześniej



Grupa lekkoatletek „Polonji"

ocenione przez Komisję rozpoznawczą, komitetu wystawy paryskiej, zechce rysunki i wzory nadesłać pod adresem: Komitet wykonawczy wystawy paryskiej — Warszawa, Tamka 1.

Przed otwarciem Wystawy Przeglądowej w Warszawie, Komisje Kwalifikacyjne ocenisć będą wszystkie nadesłane prace, zarówno i te, których projekty poprzednio nie były przedstawione Komitetowi.

Zarząd T-wa „Zdobnictwo Polskie" komunikuje, iż regulaminy i deklaracje wystawy przeglądowej w najbliższym czasie będą rozesłane, gdyby jednak wskutek braku adresów pominięto kogoś z zainteresowanych, druki wystawowe otrzymać będzie można w biurze delegata rządu polskiego na wystawę paryską, p. J. Warchsłowskiego, Kraków, Smoleńska № 9; w sekretarjacie Komitetu wystawy paryskiej u p. C. Młodzianowskiego — Warszawa, Tamka 1 i w Towarzystwie „Zdobnictwo Polskie" u p. N. Bobrówny — Warszawa, Szczygla 1, między godziną 4—5, gdzie stale udzielane będą wszelkie informacje w sprawie wystawy przeglądowej.

❋

SZTUKA I ARTYSTA. Miesięcznik Rok I. Nr. 4—5. Kwiecień—Maj 1924.

Ostatni numer tego miesięcznika wykazuje znaczne postępy zarówno pod względem graficznym, jak i w doborze treści. Szwankują jeszcze niektóre reprodukcje w tekście, oraz szpecą stronę drukarską niepotrzebne zupełnie i brzydkie przerywacze i zakończenia w dziale kroniki; na ogół jednak widać coraz większą dbałość o stronę zewnętrzną pisma.

Treść poświęcona jest malarstwu i rzeźbie, obok artykułów zasadniczych zawierając obfitą kronikę życia artystycznego w kraju i za granicą. Obok licznych ilustracyj w tekście i na planszach, numer zawiera autolitografję Tadeusza Pruszkowskiego p. t. „Głowa rycerza".

W.

❋

POŁUDNIE. Kwartalnik ilustrowany, poświęcony sztukom plastycznym i krytyce artystycznej. I. Warszawa 1924. Wydawnictwa rok trzeci.

Pierwszy numer „Południa", przekształconego z miesięcznika w kwartalnik i przeniesionego do Warszawy, przedstawia się prawdziwie imponująco. Imponuje zewnętrznie doskonałem opracowaniem strony drukarskiej, oraz licznemi i dobrze odbitemi reprodukcjami. Imponuje obfitością i doborem treści, imponuje zaś przedewszystkiem tą ilością zapału, jaką zarówno redaktor, jak i komitet redakcyjny, jak wreszcie poszczególni współpracownicy włożyli w swe prace. Treść zeszytu, zgodnie z brzmieniem karty tytułowej, poświęcona jest przeważnie sztukom plastycznym z inscenizacją sceniczną włącznie, obracając się w dziedzinie teorji i estetyki, z wyjątkiem pracy Siennickiego o kościele św. Trójcy w Lublinie, która nosi charakter historyczny, oraz artykułu Lorentowicza o teatrach w stolicy, ujętego w formie obszernej kroniki. Wszystkie te prace potraktowane są z rzadką u nas źródłowością i powagą. Poza wspomnianymi autorami złożyli się na całość numeru: Woźnicki, Dąbrowski, St. Zahorska, Fr. Siedlecki, oraz kilku innych autorów w dziale kroniki. Kronika ta, zawierająca szereg bardzo ciekawych wiadomości, jest jeszcze cokolwiek chaotyczna, co zresztą spostrzegła i sama redakcja, tłumacząc się brakiem miejsca.

Nowy, czy też wznowiony kwartalnik zdaje się mieć przed sobą bardzo poważną przyszłość.

W.

taniec

SZKOŁA BALETOWA. Jeden z najbardziej pouczających i najsympatyczniejszych egzaminów. Popisują się na scenie Teatru Wielkiego przyszłe koryfejki i koryfeusze. Są śród nich dziewczynki od lat 10 do 14, z doskonale wyrobionym słuchem i orjentujące się w zmianach rytmu nagłych i szybkich. Trzeba mieć wysokie uznanie dla tych nauczycielek i nauczycieli, jak panie: Spałkowska, Sznarowska, Lucas, panowie: Śliwiński (szkoła zespołowa chłopców), Socha i mistrz Zajlich. W ich klasach są istne fenomeny gracji, wdzięku i sprawności technicznej.

Powtarzać nazwiska? Robić reklamę dzie



Znane lekkoatletki „Polonji": Kielichówna — Kwaśniewska — Smidtówna. — Warzyńska

ciom, które się mają jeszcze uczyć; utrudniać dalsze zadanie kierownikom? Dajmy pokój. Wymieńmy tylko nagrodzoną z miejsca dyplomem pannę Sabinę Szadkowską, już dziewicę dorosłą, z której Zajlich może być dumnym, jako ze skończonej tancerki.

Wszyscy wspomniani profesorowie to pracownicy—artyści; nie szukający rozgłosu; nie „aranżowali" oni głośno tego popisu, nie szukali doraźnej nagrody w prasie—tem większy był efekt i tem silniejsze brawa towarzyszyły niektórym uczniom i uczennicom, wprost zastanawiającym precyzją i werwą, a nawet fantazją.

Kierunek szkoły baletowej (przy operze warszawskiej) jest połączeniem zasad baletu klasycznego, operowego i jego całej koloratury piruetowej, z nowoczesnemi wymaganiami ekspresji indywidualnej i ansamblowej. Z tej szkoły wychodzący tancerze i tancerki mają wszystkie podstawy techniczne i zarazem przygotowanie do choreografji tak zwanej symfonicznej i kameralnej, t. j. tej, co dzisiaj podbija świat i najlepiej realizuje czarodziejstwo zjawy teatralnej. Są przytem systematycznie umuzykalniani przez naukę solfeggia i śpiewu, a w pewnym zakresie kształceni ogólnie.

Szkoła baletowa jest rzeczywiście chlubą naszej opery. Zasługuje na jaknajwiększą pieczołowitość. *C. J.*



Akademicki Zakład Fotograficzny

Świetny kicks Czulaka przed przerwą

sport

Ostatniemi czasy stolica żyje i oddycha sportem.

Chciwi wrażeń zwolennicy tej pięknej dziedziny naszego życia w trudnem byli położeniu: wielka ilość imprez i zawodów nie pozwalała wszędzie być i wszystko widzieć... A wszystko odbywało się pod znakiem Olimpjady.

Zakończony niedawno Wielki Tydzień Olimpijski miał być przeglądem naszego dotychczasowego dorobku, miał być wielką manifestacją na rzecz sportu.

Tak jednak nie było... Nie zelektryzował on szerokich mas naszego społeczeństwa, nie obudził drzemiących wsteczników.. Brak było ufności we własne siły, brak serca i zapału.

Pierwszy w naszej Ojczyźnie „Pochód sportowy"—to „wielkie słowo", o którem nawet marzyć nie śmieli nasi praojcowie—jakże wypadł blado!!

Zamiast tysiącznych rzesz naszych sokołów, harcerzy, piłkarzy, lekkoatletów.... ... przeszła ulicami garstka ludzi bez zapału, bez entuzjazmu...

. . . .

Czas obudzić się z letargu! Czas przekonać nasze drzemiące społeczeństwo, że sport to jedna z najważniejszych dziedzin naszego życia! Czas od słów przejść do czynu!!

⁂

PIŁKA NOŻNA. Obecny sezon piłkarski przedstawia się niezmiernie bogato.

Niedawne porażki stolicy z Łodzią, oraz z Krakowem i. przejście pięknego puharu „Komispolu" w ręce podwawelskiego grodu — zdawałyby się świadczyć, że warszawski sport piłkarski chyli się ku upadkowi, że drużyny stołeczne nie są w stanie pokazać pięknej i efektownej gry...

Mieliśmy jednak miłą niespodziankę... Tą niespodzianką były spotkania naszej Polonji z doskonałym klubem szwedzkim Kamraterną. Triumf Polonji nad Szwedami 3:1 (1:1) i 4:3 (3:1) jest pewnego rodzaju rehabilitacją za nasze porażki w Sztokholmie.

Drużyna szwedzka wstępnym bojem zyskała sobie ogólną sympatję stołecznej publiczności. Tak karnej na boisku drużyny, takich gentlemanów sportowych —nie widzia-



Akademicki Zakład Fotograficzny

Drużyna „Ameryki" — „American Football Association „The Soccer"



Fot. T. G.

Z zawodów eliminacyjnych przedolimpijskich: rzut dyskiem Kozieł (A. Z. S. Lublin)

ła Warszawa. Niechże drużyny polskie biorą przykład ze Szwedów.

Nadzwyczajny spokój w grze, doskonała technika, dobry start do piłki — oto pierwszorzędne zalety tej sympatycznej drużyny.

Szwedzi nauczyli nas czegoś! Nauczyli nas, jak należy wytwarzać atmosferę wśród widzów, jak należy zachęcać do gry drużynę...

Swemi bojowemi okrzykami na trybunach spowodowali kontrakcję publiczności miejscowej. Wytworzyła się bajeczna wprost atmosfera... Gdyby ktoś był obecny rok temu i dziś w stolicy na meczu — nie poznałby warszawskiej publiczności.

Zapał i okrzyki widzów udzielały się graczom Polonji!

Jakiś nowy duch zupełnie wstąpił w szeregi „Polonji". Gracze poczuli się nagle odmłodzeni.

Parci niesłychaną ambicją naprzód — pokazali nam grę zaiste piękną.

Koncertowo wprost grał pierwszego dnia Bułanow II w pomocy, dotrzymywali mu w zupełności miejsca Czyżewski, Gebethner I, Hamburger i Zantman. Nawet zazwyczaj niepewny Walczak zmienił się nie do poznania.

A ulubieniec publiczności, Janek Loth, ten gracz z bożej łaski, pokazał nam jak grać powinien napastnik. Niepohamowany niczem pęd na bramkę, ostry silny strzał—oto pierwszorzędne zalety tego uniwersalnego sportowca. On to głównie spowodował wygraną Polonji.

Niechże Polonja nie spocznie na laurach, niech dalej broni honoru piłkarskiego stolicy.

. . . .

Jakże odmiennie wyglądał mecz Polska—Ameryka. Trudno jest naprawdę i boleśnie wywlekać przyczyny przegranej.

A moglibyśmy tak śmiało wygrać... Mówili to sami Amerykanie...

Na bankiecie jeden z ich mówców oświadczył wprost: „przyjechaliśmy do Polski, aby przegrać, jednak jest nam niezmiernie miło żeśmy was pobili". Poza prawym obrońcą i środkowym napastnikiem bramkarzem —reszta graczy amerykańskich była wcale przeciętna.

Z drużyny polskiej jedynie niestrudzony Wacek Kuchar, oraz poczęści Styczeń i Adamek zasługują na pochlebne słowa, broniąc honoru polskiej drużyny.

Amerykanie wynieśli niezatarte wspomnienia z Polski... przyjmowano ich zaiste z polską gościnnością.

Sportowa Ameryka i sportowa Polska zadzierzgnęły między sobą serdeczny węzeł przyjaźni...

Zyskaliśmy nowych dwudziestu kilku sportowych druhów.



Akademicki Zakład Fotograficzny

Podczas treningu

Obyśmy tak umieli zwyciężać, jak umiemy ugaszczać!...

. . . .

Niezwykle miłą nowością było zjawienie się na boisku parku Sobieskiego... pierwszej w stolicy drużyny piłki nożnej artystów teatru Polskiego i Małego.

Przyjmowano drużynę entuzjastycznie. Ulubieńcy Warszawy — zagrali... ale tym razem na zielonej murawie...

Drużynie życzymy powodzenia!

Brawo! panowie artyści!!

WACŁAW SIKORSKI

❋

DLACZEGO PRZEGRALIŚMY W OSTATNIM MECZU PIŁKI NOŻNEJ— „POLSKA — AMERYKA"? W meczu tym, rozegranym w dniu 10-ym b. m. na boisku w Agrikoli, „Polska", jak się to mówi, łyknęła jeszcze jedną „gorzką pigułkę". Krótko mówiąc, przegraliśmy. Zresztą nie poraz pierwszy. Nasza drużyna piłki nożnej, uległa już na boiskach w Sztokholmie, uległa drużynie olimpijskiej węgierskiej... Ale o ile porażki poprzednie są do pewnego stopnia usprawiedliwione doborem ludzi, to tego właśnie nie da się powiedzieć o drużynie „Ameryki". Drużyna ta nie należy jeszcze do najlepszych zespołów amerykańskich, a przytem piłka nożna w Stanach Zjednoczonych nie jest tak znowu świetnie postawiona. I tylko nieudolności i „ambicyjkom" naszych małopolskich „aranżerów" przypisać należy porażkę „Polski". Dość powiedzieć, że w doborze ludzi kierowano się szowinizmem dzielnicowym, chciano bowiem, aby zwycięstwo było zasługą wyłącznie „swoich" ludzi.

W opinji bezstronnych rzeczoznawców ten dobór wyrobił sobie miano „skandalicznego".

Organizatorzy dopięli wprawdzie swego— nie dopuszczono do meczu nikogo z poza programu partykularzy, ale też musiano łapać ludzi wprost z pociągów, zmęczonych daleką podróżą i meczami poprzednio rozegranemi. Tak schwytano Kuchara i Stalińskiego. Byli i tacy, na których liczono, a którzy wcale się nie pokazali!

Tyle o stronie moralnej meczu.

***

Niemniej „pod psem" przedstawiała się strona techniczna. Sędziowanie, arbitraż, sposób walki, a nawet usposobienie widowni było „très obscure". Amerykanie trzymali się taktyki szybkości i silnych wypadów. Grę naszych można określić, jako „par excelence" defensywną. Trzeba przyznać, że o ile amerykanie, jako drużyna byli słabsi, o tyle, indywidualnie wzięci, okazali się lepszymi graczami. Skład drużyny był następujący:



Fot. T. G.

Z zawodów eliminacyjnych przedolimpijskich: skok o tyczcę Adamczak (K. S. Pentatlon Poznań)

„Ameryka": Douglas; O'Connor, Mullboland, Johnson, Hornberger, Demko, Hart, Jones, Stradan, Wells i Davies;

„Polska": Domański, Kaczor, Markiewicz, Styczeń, Kuchar, Amirowicz, Adamek, Czulak, Chruściński, Kowalski i Balcer.

Już po kilku pierwszych minutach inicjatywa przechodzi do amerykanów, a stosunek ten wyraża się, jak 1:0 — Kilka doskonałych ataków aranżują Czulak i Adamek. Niestety, nie wykorzystano tego napadu. W 5-ej minucie gra toczy się na połowie gości. Czulakowi udaje się wyrównanie szans. Naszej drużynie naogół brak szczęścia, a przytem Kowalski „pudłuje" strzałowe „kicksy", które w 30-ej minucie wyrównywa Chruściński, korzystając z długiego „kicksu" obrońcy. Stan bramek do przerwy 2:2. W przerwie orgiestra gra hymny narodowe obu państw. Strony zmieniają się. Upłynęło jednak 40 sekund, a przeciwnik zdołał do tego stopnia wykorzystać błąd niefortunnego Markiewicza, że decydująca bramka dnia została przez amerykanów zdobytą. Nasi przeszli całkowicie do beznadziejnej obrony. Po naszej stronie zmieniały się jeszcze osoby, ale nie sytuacja.

Napięcie nerwów wśród kilkunastotysięcznej publiczności—nadzwyczajne. Jeszcze liczono tu i owdzie, chyba na „zrządzenie losu", ale przeciągły gwizdek sędziego węgierskiego, p. Ivancicsa kończy niefortunne dla nas zapasy. Mecz skończył się 3:2 na korzyść „Ameryki".

CIT-US.

❋

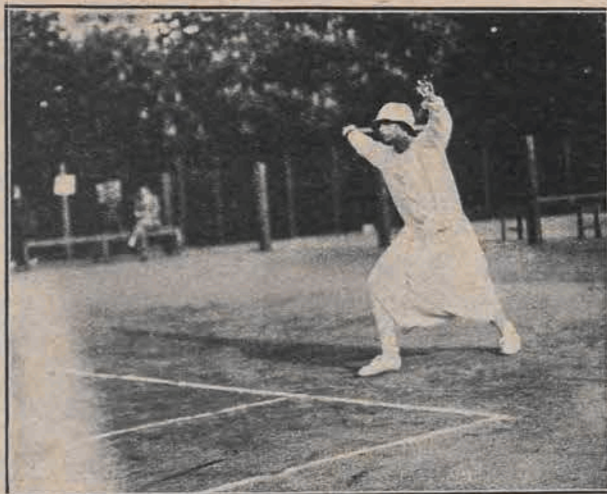
LEKKA ATLETYKA. Wielki triumf odnieśli nasi lekkoatleci, bijąc na zawodach o mistrzostwo okręgu warszawskiego szereg rekordów polskich. Jest to rezultat ciągłej i usilnej pracy.

Zdaje się, że ta dziedzina naszego sportu weszła już na racjonalną drogę rozwoju. Nieco bladziej wypadły przedolimpijskie zawody eliminacyjne.

Wina, być może, leży w złej stronie organizacyjnej; mimo to uzyskano szereg wyników pierwszorzędnych i ustanowiono nowe rekordy polskie.

Nazwiska Weissa, Kostrzewskiego, Szenajcha, Sosnickiego, Cajsika, Ziffera i długiego szeregu innych są już dziś powszechnie znane sportowej Polsce.

. . . .



Znana tennisistka pani Kowalewska



WŁADYSŁAW SZWEDE
wielokrotne nagrody

Nasze dzielne lekkoatletki zdołały ustanowić dwa nowe rekordy polskie: pani Smidtówna (Polonja) w rzucie dyskiem — 21.015 mtr. (dawny rekord należał do pani Jabłczyńskiej), oraz pani Woynarowska w biegu na 80 mtr. w czasie 11.9 sekund.

Wielka szkoda, że w zawodach nie brały udziału zawodniczki Sokoła—przedstawiające doskonały materjał; mielibyśmy wówczas walkę zaciętą...

Nie wiadomo również co się stało z doskonałą sprinterką, p. Rzeznicką? Czyżby już spoczęła na laurach?

Słowo uznania należy się sekcji lekkoatletycznej pań Klubu Polonja.

Dziś już nie dwie lub trzy, lecz kilkanaście sympatycznych zawodniczek Polonji wybiega na boisko w Parku Sobieskiego. Radość i zdrowie tryska z twarzyczek naszych dzielnych niewiast. Wre w sekcji usilna i racjonalna praca!

Życzymy powodzenia!

❋

TURNIEJ LAWN-TENNISOWY. Tegoroczny turniej o mistrzostwo stolicy zgromadził pokaźną liczbę zawodników z całej Polski. Brakło jedynie przeszłorocznej mistrzyni pani Richterówny, oraz znanego gracza, pana Mendy z Gdańska, a mielibyśmy wówczas pzegląd najlepszych sił polskich.

Wzięcie udziału w turnieju świetnego tennisisty, p. Kleinadla, wzbudziło zrozumiałe zainteresowanie; to też liczne rzesze zwolenników tego pięknego sportu z wielkiem zaciekawieniem śledziły przebieg poszczególnych spotkań.

Na pierwsze miejsce wybił się wielokrotny mistrz Kleinadel, który i tym razem pokazał swą klasę. Jego spotkanie z „weteranem", p. Kowalewskim, stało na wysokim poziomie. Gra prowadzona z obustronnem zdenerwowaniem wykazała z początku lekką przewagę p. Kowalewskiego, który zwycięża w pierwszym secie 6:4.

Ambitny jednak Kleinadel nie daje za wygraną i w następnych setach odnosi piękne zwycięstwo 6:2, 6:2, 6:2—zyskując tytuł mistrza Warszawy.

Piorunujące obustronne uderzenia, świetna technika i zwrotność p. Kleinadla, oraz rutyna p. Kowalewskiego złożyły się na prawdziwą ucztę sportową.

Tytuł mistrzyni stolicy w grze pojedyńczej pań zdobyła pani Żochowska, bijąc w finale p. Kowalewską 6:4, 6:1.

Spotkanie to było obrazem dwóch różnych temperamentów, podobnie jak zeszłoroczne między p. Richterówną a p. Żochowską.

Zasłużone zwycięstwo zawdzięcza p. Żochowska swemu kolosalnemu spokojowi



Fot. T. G

Na przystani A. Z. S. „Jaskółka"



Fot. T. G.

Podczas lekcji pływania



Fot. Wytw. Doświadcz. Z. A. S. K.

I Narodowy Zlot Harcerski. Ogólny widok obozu męskiego



Fot. Wytw. Doświadcz. Z. A. S. K.

I Narodowy Zlot Harcerski. Obóz żeńskt w Świdrze. Sztandary

i pewnemu uderzeniu. Pani Kowalewska zaś przewyższała swą rywalkę zwrotnością.

Mistrzostwo w grze podwójnej panów zdobyła świetna para Kleinadel — Kowalewski, bijąc w finale graczy lwowskich p. Kuchara i Stahla 6:2, 6:3, 6:1. Spotkanie to należało do wyjątkowo pięknych i nie powstydziłyby się go niejedne korty zagraniczne.

Również koncertową grę pokazała para Żochowska—Kleinadel, bijąc państwa Kowalewskich 6:2, 6:0.

Tegoroczny turniej wykazał, że ten piękny sport tennisowy stale kroczy naprzód, zyskując coraz to nowych zwolenników.

ZLOT HARCERSTWA.

W piękny poranek niedzielny udałem się do obozu harcerzy na Siekierkach. Przy bramie odrazu dostaję się pod opiekę Szefa Biura Prasowego, druha Grabowskiego, który oprowadzał mnie po obozie, pokazywał i objaśniał. Rozpoczęliśmy wędrówkę od serca i mózgu obozu— Namiotu Komendy, w której ruch, stukot Remingtonów i t. d. sprawiały wielkie wrażenie i... wielki hałas. Idziemy dalej, zwiedzając kolejno namioty poszczególnych drużyn. Czego tam nie było?

W samym środku obozu, kilka namiotów zgrupowanych dookoła masztu, na którym powiewały flagi różnych państw Europy, gościło harcerzy zagranicznych, budzących ogólne zaciekawienie. Wyróżniali się pomiędzy nimi szkoci swemi oryginalnemi spódniczkami. Węgrzy przybyli pod wodzą dr. Molnara, który swą modą i monoklem podbijał serca zwiedzających obóz warszawianek.



Fot. Wytw. Doświadcz. Z. A. S. K.

I Narodowy Zlot Harcerski. Obóz żeński w Świdrze. Trębacz

Tuż obok gości rozłożyły się polskie drużyny zagraniczne, a za niemi, jak okiem sięgnąć, namioty, namioty, namioty. Po przeszło dwugodzinnej wędrówce odpoczęliśmy w gospodzie urządzonej omal nie z komfortem, poczem zwiedziwszy kino obozowe, żegnam uprzejmego cicerone i wracam do Warszawy.

***

Po południu w parku Sobieskiego odbywał się przegląd harcerzy przez p. Prezydenta Wojciechowskiego. Przeszło 4000 harcerzy stanęło na boisku. P. Prezydent, obszedłszy wszystkie chorągwie, zajął miejsce w loży, poczem rozpoczęły się popisy.

Wieczorem w salonach miejskich odbył się bankiet na cześć gości i harcerzy polskich.

***

Poniedziałek 7 lipca — dzień śliczny, jedziemy do Świdra, do obozu harcerek.

Na dworcu w Warszawie oczekują nas druhny pod komendą p. Śliwowskiej, naczelniczki chorągwi warszawskiej, przybyłe w celu „bezpiecznego" dostawienia nas do obozu. Bo przecież bez nich z pewnością nie dostalibyśmy się do obozu...

Obóz wyglądał bardzo malowniczo; namioty, każdy upiększony, odrazu mówiły kogo mają za mieszkanki. Łowickie kilimy i samodziały, hafty wołyńskie, poznańskie, pomorskie i wiele, wiele, innych reprezentujących całą Polskę przez 1000 uczestniczek zlotu.

Podejmowani nadzwyczaj gościnnie podwieczorkiem, spędziliśmy miłą godzinkę na pogawędce z której dowiedzieliśmy się wielu szczegółów z życia obozowego.

Dużo trudu i pracy poniosły harcerki w obozie, lecz wspomnienia wyniosły na całe życie — pobyt p. Prezydenta Wojciechowskiego, który długie godziny spędził w obozie, pozostaną na długo w pamięci tych młodych istotek.

ES.



Fot. Wytw. Doświadcz. Z. A. S. K.

I Narodowy Zlot Harcerski. Obóz żeński w Świdrze. Naczelnictwo



Fot. Wytw. Doświadcz. Z. A. S. K.

I Narodowy Zlot Harcerski. Obóz żeński w Świdrze. Kantyna

Wogóle to i owo

Z KONSULATU ARGENTYŃSKIEGO

Pan konsul republiki argentyńskiej Andrzej José Wallace powrócił wraz z małżonką po półrocznym pobycie w ojczyźnie do Warszawy i objął urzędowanie. Państwo konsulostwo zdołali pozyskać sobie w Warszawie szczerą sympatję najwytworniejszych sfer towarzyskich. Podajemy w numerze bieżącym fotografję pani konsulowej Amandy A. Gomboa de Wallace.

❋

ŻYCIE TOWARZYSKIE

W „Kurjerze Porannym" z dn. 12-go b. m. czytamy: „W gościnnych salonach poety Jana Lechonia odbyło się wczoraj zebranie towarzyskie na cześć rosyjskich gości z „Niebieskiego ptaka". Przybyli pp.: Jużnyj, Nelidow, Chenkin, Jarossy i Kogan, prócz tego bawiący stale w Warszawie p. Fiłosofow. Witał ich „Skamander" w komplecie: pp. Tuwim, Lechoń, Słonimski, Iwaszkiewicz i Wierzyński, dalej pp. Franciszek i Ludwik Fiszerowie, p. Ordyński, Baliński, Boy, Wasowski, Kramsztyk i Rentgen. Śliczne mieszkanko, położone w jednym z najcharakterystyczniejszych zakątków Starego Miasta, istne mieszkanie poety (który w niem podobno rzadko bywa), tonęło w kwiatach i owocach. Wśród ożywionej gawędy zabawa zmieniła się w turniej pieśni: p. Wiktor Chenkin rzucił parę klejnocików ze swego repertuaru, poczem p. Rentgen zachwycił rosyjskich gości, roztaczając przed nimi skarby naszych pieśni i piosenek ludowych. Pod najmilszem wrażeniem opuścili wszyscy zebranie, dziękując serdecznie p. Lechoniowi, który tak szczęśliwie wskrzesił ginące niestety tradycje dawnych salonów, skupiających życie umysłowe i artystyczne stolicy".

LECHOŃ

To przyzna każdy znawca,
Że gdyby Leszka ubrać u angielskiego krawca
Naprzykład Pricksa lub Poola,
Toby się rozległ wielki krzyk podziwu
I nie byłoby w świecie salonu assez chic
Dla tego Incroyabla, Unscadina, petit-maitrea,
Którymbyłby Jan Lechoń w jedwabnych koszulach,
Cylindrach, smockingach i zamszowych getrach.
Aż Wilde by z grobu wyskoczył,
By z nim pomówić prędko w cztery oczy
I Georges Brummel, choć na nim porosła już trawa,
Rozwiązałby i związał swój halsztuk na nowo,
Byron zaś spojrzałby mu na duszę i krawat
I krzyknął „Ostatnie słowo".

MARJA Z KOSSAKÓW PAWLIKOWSKA

JERZY VAXELAIRE

Jerzy Vaxelaire, konsul polski w Brukseli, jeden z większych przemysłowców swego kraju, położył wielkie zasługi w sprawie zbliżenia ekonomicznego Polski i Belgji. Przy nawale swych różnorodnych zajęć znajduje zawsze czas na działalność literacką i dramatyczną. Napisał on już kilka sztuk wybitnych, które były grane



P. JERZY WAXELAIRE
Konsul polski w Bruksell

z powodzeniem w teatrach brukselskich, jak „Elles en veulent", „Incognito", „Deux Medaillons" i revue „Chacun son Pacquet". Pozatem jest p. Vaxelaire dziennikarzem; jego artykuły polityczno-ekonomiczne o Polsce i Belgji drukowane były w najpoczytniejszych pismach brukselskich.

Dn. 3 maja zorganizowało Towarzystwo Les Amitiés Belgo-Polonaises, pod egidą p. Vaxelaire'a, widowisko na dochód niezamożnych Polaków, przebywających w Belgji. Między innemi wykonano hymn polski, tańce polskie i sztukę p. Vauxelaire'a „Deux Medaillons".

W wieku lat 48, ma przed sobą Jerzy Vaxelaire świetną karjerę, która mu zapewne pozwoli oddać Polsce, którą kocha jak swoją drugą ojczyznę, duże usługi.

❋

PRZEDSTAWIENIE FRANCUSKIE WE LWOWIE

Kolonja francuska we Lwowie sprawiła ostatnio miastu nader miłą niespodziankę w postaci przedstawienia w Teatrze Wielkim; wieczór, urządzony z inicjatywy państwa Didier na dochód komitetu „Chleb głodnym dzieciom", składał się z trzech części: z lekkiej komedji Tristana Bernard p. t. „L'anglais tel qu'on le parle", z udramatyzowanego poematu Franciszka Coppée „La grève des forgerons" i ze stylowej komedji historycznej Teodora de Banville: „Gringoire".

Całość wypadła nadzwyczaj udatnie, gdyż amatorzy potrafili się zdobyć na wysiłek prawdziwie artystyczny. Jest w tem przedewszystkiem wielka zasługa doskonałego reżysera p. Lame, który równocześnie i jako aktor (zwłaszcza w tytułowej roli Gringoire'a) osiągnął prawdziwy sukces. Konsul belgijski p. Spitaels w roli Ludwika XI i w odtworzeniu wspaniałego poematu Coppéego uzyskał ogólne uznanie. Panie: Didier i Goblot, panny: Quoniam, Bouroze i G. Didier, jak i panowie: Charpantier, Goblot, Gabaret, Didier i Coombs inteligentną grą zasłużyli w równej mierze na pochwałę za utrzymanie poziomu artystycznego.

J. K.

❋

REDAKCJA „ŚWIATA" OGŁASZA KONKURS FOTOGRAFICZNY

na trzy zdjęcia amatorskie na następujących warunkach

1) Scena rodzajowa na tle życia polskiego (krajobraz polski, typy ludności polskiej).

2) Portret kobiecy ze szczególnem uwzględnieniem charakterystycznych rysów urody polskiej.

3) Scena sportowa.

W każdym z trzech działów przyznane będą dwie nagrody. Zatem:

3 pierwsze nagrody po 150 złotych każda,

3 drugie nagrody po 50 złotych każda.

Ogólna suma nagród wyniesie 600 złotych, t. j. z górą *miljard* marek.

Konkurs przeznaczony jest wyłącznie dla miłośników-fotografów.

Fotografje, nadsyłane na konkurs, nie mogą mieć mniejszych wymiarów, niż 13 × 18 cm.

Ostateczny termin nadsyłania fotografij:

31 SIERPNIA r. b.

Skład jury będzie ogłoszony później.

Fotografje, zaopatrzone w godła lub inicjały, winny być nadsyłane do redakcji „Świata" (Szpitalna 12). Przy fotografjach winna być dołączona zamknięta koperta z nazwiskiem miłośnika.

Fotografje nienagrodzone, lecz przez jury wyróżnione, będą umieszczone w „Świecie"; autorzy dostaną zwykłe honorarjum za prawo reprodukcji.

Konkurs dojdzie do skutku, o ile weźmie w nim udział przynajmniej 15-u uczestników (5-u w każdym dziale).

❋

KONGRES C. I. E.

We wrześniu r. b. odbędzie się w Warszawie II Międzynarodowy Kongres młodzieży akademickiej, zrzeszonej w Confederation Internationale des Etudiants, połączony z Olimpjadą Akademicką.

Ze względu na to, że jest to moment najodpowiedniejszy dla propagandy Polski, młodzież akademicka oczekuje od społeczeństwa wydatnej pomocy finansowej przy organizacji kongresu.

※

IV MIĘDZYNARODOWY RAID AUTOMOBILOWY

W ostatnich dniach odbył się jeden z najciekawszych konkursów sportowych, doroczny raid automobilowy, zorganizowany staraniem Automobilklubu Polski.

Szczegółowym opisem tych, bodajże najciekawszych zawodów sportowych, zajmiemy się w następnym numerze naszego czasopisma, pragnąc obecnie zaznajomić naszych czytelników tylko zgrubsza z charakterem i organizacją raidu.

Raid samochodowy, jako próba wytrzymałości i przystosowania samochodów do warunków terenowych danego kraju, jest z punktu widzenia technicznego niezmiernie ważnem doświadczeniem, pozwala bowiem z zebranych obserwacyj, wypośrodkować typ maszyny najbardziej dla danego terenu odpowiedni.

W tym celu route'a raidu jest zwykle wybierana w ten sposób, aby po drodze trafiały się wszelkie możliwe rodzaje terenu, jak również wszelkie gatunki szos.

W roku bieżącym trassa wiodła dokoła Polski, natrafiając po drodze na tereny: lesiste, płaskie, górskie, drogi złe i dobre, ostre zakręty i t. p. Pozatem raid, wynoszący 2500 kilometrów, odbyto w ciągu sześciu dni ze stosunkowo krótkiemi odpoczynkami na noclegi, co było także specjalną próbą dla kierowców.

Raid był zorganizowany zupełnie poprawnie, tak pod względem noclegów jak i zaprowiantowania dla uczestników, co zawdzięczać należy sprężystej organizacji komisji gospodarczej.

Jeżeli chodzi o obsługę szos, to była ona naprawdę bez zarzutu, dzięki współpracy Ministerstwa Robót Publicznych i Policji Państwowej. Na każdem skrzyżowaniu drogi stał policjant i dróżnik, wskazujący drogę, w miastach zaś oczyszczający jezdnie ulic, przez które jechać wypadło, z wozów i przeszkadzających przechodniów.

Route'a prowadziła dokoła całej prawie Polski, przecinając po drodze, puszczę Białowieską, Kobryń, Brześć Litewski, Zamość, Przemyśl, Zakopane, Morskie Oko, Myślenice, Kraków, Katowice, Częstochowę, Wieluń, Poznań, Bydgoszcz, Kartuzy, Puck, Gdańsk, Grudziądz, Skempe, Modlin, Jabłonnę i zakończyła się na moście Księcia Józefa w Warszawie.



PANI AMANDA A. GAMBOA DE WALLACE
małżonka konsula Republiki Argentyńskiej w Warszawie

W czasie raidu odbyły się cztery różne próby, a mianowicie: kilometr lancé górski, na górze mogilańskiej, próba elastyczności motoru pod Poznaniem, kilometr lancé płaski pod Jabłonną, oraz próba prężności motoru na moście Ks. Józefa w Warszawie.

Zasłużoną pierwszą nagrodę otrzymał inż. H. Liefeldt, który okazał się bodajże najlepszym kierowcą raidowym. W dalszym ciągu nagrody otrzymali:

Nagrodę M. S. Wojsk. p. Dzierliński
„ p. Jana Morowa inż. Bettague
„ p. R. Bormana inż. Zeydowski
„ drogą losowania p. Jabłońską
Nagrodę firmy Oleum p. Janssen
„ p. Kostewicza p. Werzmirzowski
„ firmy R. Bosch p. Derdak
„ p. Kaplińskiego p. Mrajski

Nie wdając się w tej chwili w ocenę konkursu, ani też jego uczestników, podkreślić musimy tylko jego doskonałą organizację, oraz pomoc wykazywaną przez władze państwowe przy organizowaniu przejazdu po szosach i postoju na etapach.

W ostatniej chwili dowiadujemy się, że Automobilklub Polski nosi się z myślą zorganizowania w najbliższym czasie konkursu w rodzaju biegu myśliwskiego na samochodach, oraz dwudziestoczterogodzinnego biegu na ilość przejechanych kilometrów. Oba te konkursy nad wyraz ciekawe mają się odbyć w najbliższym czasie.

Na zakończenie podkreślić jeszcze należy dobrą bardzo formę maszyny komandorskiej Laurin & Klement, która przybywając wszędzie na etapy pierwsza, nigdzie niereperowana, odbyła raid bez zarzutu.

jo.

※

SAMOLOTEM DO PRAGI

Podróż przez Niemcy. — Wystawa lotnicza. — Kobieta-pilot. — Powrót nad Wisłę.

O godzinie 2-ej i pół siadamy, żegnani litościwem powiewaniem chustek. Samolot skacze chwilę po ziemi, wreszcie, pchnięty w górę dłonią pilota, wśród ogłuszającego huku motoru opuszcza lotnisko warszawskie, a mknąca mętnie pod nami ziemia ginie z oczu, gdy pędzimy ku białym obłokom, na pogodnem, niebieskiem tle, odbywającem swoją podróż na wschód. Wiatr potężny wieje w nas zatem z zachodu, prosto w dziób samolotu, podrzuca skrzydła i targa korpusem. Wzbijamy się na odpowiednią wysokość, poczem mamy jeszcze małą chwilkę czasu, aby obejrzeć niknącą w dali Warszawę, która odrazu też jakoś staje się czemś dalekem, drogiem, niedocenionem. Siedziałoby się teraz właśnie na obiadku, spokojnie, bez awantur, czytało kurjerka, miast szukać dziury na całem... niebie.

Jeszcze miałem w oczach nieprzyjemną wizję swego własnego nekrologu, opatrzonego (na pociechę) licznemi tytułami, gdy już, minąwszy Pruszków i Skierniewice, szybowaliśmy nad Łodzią zamgloną fabrycznym dymem, Zduńską Wolą i polami, mokremi jeszcze i błotnistemi po wylewie Warty. Pod nami płynęły w tył i płynęły pasma i prostokąty pól, o le-



Fot. Z. Majcherski

Inż. T. Tański wraz z inż. Gabeau po powrocie z Olimpiady i odbyciu drogi Warszawa — Paryż na najmniejszym typie samochodu „Mathis". Z boku pani inż. Gabeau oraz p. Tańska

dwie dostrzegalnem falowaniu zbóż, uciekały białe taśmy szos, zmieniały się wsie, miasteczka, widne jak otwarte przez bartnika ule. O godz. 16 m. 10 ukazało się Kępno, potem zaś stuknięcie pilota w szybkę dało znać, że płyniemy nad terytorjum Niemiec.

Jakiś też nieprzyjemny wicher wiał z dołu ku nam, bo już za Wrocławiem, cudownie, malowniczo rozrzuconym po obu brzegach Odry, zaczęło naszym samolotem rzucać. To z lasów i przedgórz Karkonoszy i Sienicy szedł prąd powietrzny, zawsze podobno niepokojący lotników.

By nie obserwować tych podejrzanych podrygów i nie irytować się niepotrzebnie, napisałem parę listów do kochanych człowieczków, łażących gdzieś po bruku, wyczyściłem cygarniczkę, obejrzałem ze świetnie udanem zainteresowaniem zawartość własnego pugilaresu, podziwiałem później dość szczerze ruiny zamku Waldenburga i piękne okolice Schatzlaru, wreszcie doliczyłem do stu, zastanawiając się nad treścią i znaczeniem każdej liczby — i nie wiedziałem już czemby się zająć — gdy nasz samolot zatoczył nagle, cały pochylony na bok, piękne półkole, przeleciał nad całem miastem hangarów, dotknął ziemi i popędził, zawróciwszy niby strzała, w stronę tłumnie stojących ludzi. Na hangarze, który wyrósł przed nami przeczytałem z radością: Praha.

* * *

Wystawa lotnicza w Pradze (zamknięta niedawno) jest trzecią z rzędu międzynarodową wystawą lotniczą. Mieści się we wspaniałych halach oszklonych, przeznaczonych specjalnie na wystawy. Flagi prawie wszystkich państw świata zdobią dziedziniec, a wnętrze udekorowane kwiatami i emblematami przedstawia się bardzo estetycznie. Trzy wielkie państwa, Francja, Anglja i Niemcy, posiadają tam swe działy, prócz tego rozwijający się szybko przemysł czeski zajmuje dużo miejsca i jest najlepiej reklamowany.

Zainteresowanie wystawowej publiczności wzbudzają najnowsze modele „Spad", bojowy samolot czeski „Aero" o 3-ch motorach i takiż o 2 motorach, unoszący pod sobą 1500 kg. bomb, a pomalowany na czarny kolor. Używany będzie do nocnych ataków — objaśnił mnie jeden z polskich lotników.

Ogląda się też z zaciekawieniem typ XIX „Bregueta", który odbył lot z Paryża do Szanghaju (86 godzin lotu, 16,000 kilometrów), „Potez 15 a 2", potężny a straszny torpedowiec angielski „Blackburn", następnie motor 1,000-konny (najsilniejszy jaki istnieje na świecie) Napier'a, dalej jeszcze nowsze typy samolotów niemieckich, precyzyjne motory „Rols-Royce'a", modele francuskich „tuneli" do studjów aerodynamicznych i t. d., i t. d.

Największą bodaj sensację wśród niefachowców wzbudzał malutki samolocik, na którym przyleciał do Pragi jakiś tajemniczy pilot, wykonywując nad lotniskiem mnóstwo ewolucyj. Po szczęśliwem wylądowaniu i rozebraniu pilota z jego „combinaison" lotniczego, okazało się, że pilotem jest pewna urocza sportsmenka, która aż z Niemiec wybrała się samotnie na wycieczkę do Pragi. A u nas pewnemu obywatelowi, który zamierzał udać się... na wystawę modeli lotniczych — żona zagroziła rozwodem. I jak tu propagować lotnictwo!

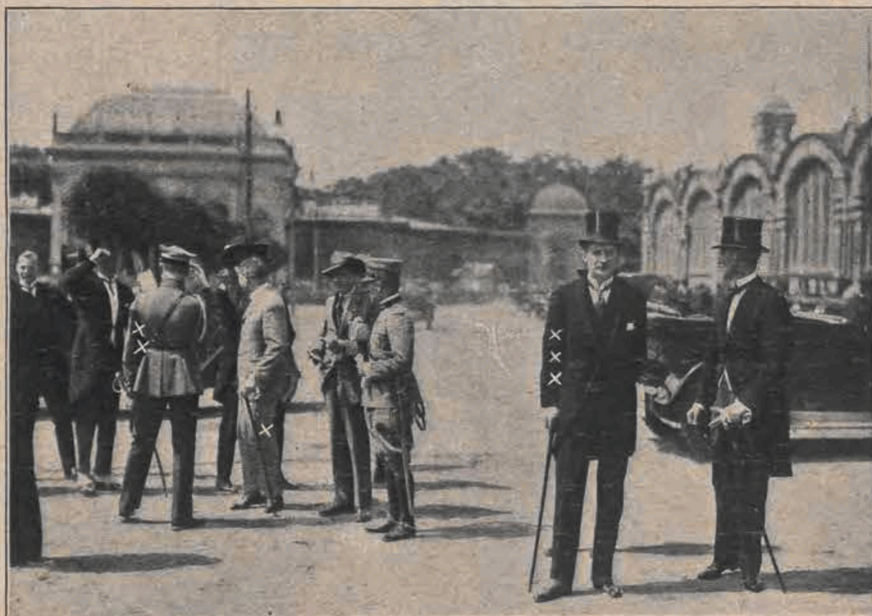
* * *

Samolotem też odbyliśmy drogę powrotną do Warszawy. Siedząc przy pilocie i czując potężny pęd żywiołu, obserwując manipulacje tego dziwnego człowieka, umiejącego latać z miną najniewinniejszą w świecie, czuje się pasażer zupełnie inaczej niż wewnątrz, w kabinie. Pogrążony w rozpamiętywaniu tysiąca szczegółów wystawy i tysiąca słyszanych wersyj, opinij, anekdot i opowieści — wszystko na temat lotnictwa — ani się obejrzałem, gdy oszołomionemu hukiem motoru, kołysaniem i wichrem, pokazał mi pilot wieże kościelne Warszawy i błękitniejącą wstęgę Wisły.

Po 3 i pół godzinach lotu wylądowaliśmy na lotnisku i tymże pędem samolot wjechał do hangaru Towarzystwa „Franco-Roumaine", zupełnie tak, jak koń idzie do stajni.

A p. pułkownik X., który wyjechał z Pragi pociągiem, będzie tu po 23 godzinach podróży...

STR.



W oczekiwaniu otwarcia Wystawy Lotniczej w Pradze.
(x) *p. Karol Bader, poseł polski w Pradze.* (xx) *Płk. Trzaska Durski, polski attaché wojskowy* (xxx) *Lord Thomson, angielski min. awjacji.*

ZWYCIĘSTWA POLSKIE W LUCERNIE

W pierwszej połowie lipca b. r. odbyły się w Lucernie przedolimpijskie konkursy hippiczne.

Na konkursy te została również zgłoszona polska equipa konna, która ma następnie reprezentować Polskę na olimpjadzie w Paryżu.

Equipa polska święciła w tych zawodach tak olbrzymie sukcesy, że pod koniec, na prośbę komitetu, wycofała się z konkursu „Pocieszenia", gdyż i tak już zajęła wśród dziewięciu reprezentowanych narodowości, pierwsze miejsce, zdobywając trzy pierwsze nagrody, jedną drugą, dwie trzecie, cztery czwarte i dwadzieścia jeden następnych. Ogółem Polacy zdobyli trzydzieści jeden nagród.

Oczywiście największe triumfy święcił tym razem jak zwykle por. Królikiewicz, który też, miejmy nadzieję, nie zawiedzie naszych oczekiwań na Olimpjadzie.

Po triumfach lucerneńskich, nasi dzielni jeźdźcy jadą do Paryża, aby ratować nieco szarpniętą opinję polskiego sportsman'a w zawodach Olimpijskich.

jo.



1) por. Szosland, 2 p. ułanów Grochowskich, zdobywca I nagrody „Prix des Hôtels de Lucerne". 2) ppułk. Rómmel I p. szwol., komendant Hippicznej Grupy Olimpijskiej. 3) p. Magdalena Rómmlowa. 4) por. Dziadulski, I p. szwol., zdobywca I nagrody „Prix des Kursaal"



Storturowany przez męczarnie nieuleczalnej choroby zmarł w Paryżu śmiercią tragiczną kierownik literacki naszego pisma, krytyk, malarz i powieściopisarz

Ś. p. JAN ŻYZNOWSKI

W świecie artystycznym Warszawy był jednostką najżywotniejszą i najbardziej czynną: — jak mało komu byli mu rodziną wszyscy artyści. W ostatnich właśnie czasach świetnie rozwinął się jego talent pisarski — mocna rasowa powieść: „Kamienie ugorne", oraz kilka nowel, zagubionych dotąd po pismach, zostawiły Żyznowskiego trwale w literaturze.

Ś. p. Jan Żyznowski był znany szerokiej publiczności polskiej, nietylko jako beletrysta, ale głównie, jako krytyk artystyczny. Zwrócił on na siebie powszechną uwagę, drukując doskonałe feljetony w „Rzeczypospolitej", „Wiadomościach literackich" i „Tygodniku Ilustrowanym". Tragicznie zmarły artysta podpisywał przez półtora roku miesięcznik „Pani", zasilając nasze pismo swemi pracami.

Odprowadza go do grobu żal serdeczny i wspomnienie o prawdziwym artyście. Najdelikatniejsze i najgłębsze współczucie wszystkich jest przy strasznem nieszczęściu narzeczonej jego — Stanisławy Umińskiej.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

SIOSTROM. Wielbicielce „Piękna dla Piękna" radzimy Chypre Coty'ego, zaś „Pokuśnicy" Coty-Paris. Jako barwnik nieszkodliwy na włosy możemy jedynie polecić Henné-Chabrier, lub Oréal (brun).

Co zaś do porad kosmetycznych radzimy zwrócić się listownie z polecenia naszej redakcji do pani Kreczmarowej, Wilcza 47, która ma cudowne sposoby i środki na wszystkie braki kosmetyczne.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, Wspólna 33, m. 3. Tel. 180-20. Konto Czekowe P. K. O. Nr. 8292. Godz. biurowe od 10-ej do 3-ej.

Oddziały Redakcji i Administracji: we Lwowie, J. Kuczabiński, ul. Turecka 2; w Zakopanem, M. Mieczysławski, willa „Orawa"; zastępstwo na Wschodnie Stany Ameryki, The Polish Importing Co. New York, 16 St. Marks Place; w Chicago. Księgarnia Ludowa, 956 Milwauke Ave.

Fotograficzne zdjęcia robił St. Brzozowski, J. Malarski i A. Jaworski. Klisze wykonały zakłady cynkograficzne „Helios" i Główczewski.

Nakładem TOW. WYDAWN. „PANI"
Kierownik literacki JAN ŻYZNOWSKI
Kierownik art. TADEUSZ GRONOWSKI

Odbito w drukarni J. Buriana, Mazowiecka 11

K. Brokowski
KREDYTOWA 8



W DUŻYM WYBORZE

Suknie,
Kostjumy,
Okrycia.



Tytus Kowalski Sp. Akc.
Warszawa Senatorska 10 tel. 9.83.



Wielki wybór Luksusowej

PERFUMERJI
L. SŁUŻEWSKA
WARSZAWA BRACKA 23.



JAS HENNESSY & CO

COGNAC



JENERALNI PRZEDSTAWICIELE:

DOM HANDLOWY

ED. KOCH i W. BORMANN

Warszawa · Boduena 1 · Tel. 75-61

CUDOWNY KREM, DELIKATNY I PACHNĄCY DO USUWANIA NIEPOTRZEBNYCH WŁOSÓW

VYTT



Współczesny rodzaj piękności kobiecej wymaga zupełnego usunięcia wszelkiego puszku i zbytecznych włosów.

Jak temu zaradzić?

Zwykłe brzytwy i inne środki służące do ściągania włosów działają powierzchownie: VYTT przeciwnie — usuwa włos W KORZENIU.

Krem VYTT, delikatny i o przyjemnym zapachu używa się z taką łatwością, jak krem tualetowy. Należy używać go w miarę jak wychodzi z tubki — spłukać w kilka chwil potem, a niepotrzebny włos zniknie zupełnie. VYTT, pozbawiony przykrego zapachu, jest bardziej pożądanym od innych środków podrażniających naskórek lub od brzytwy, która łatwo zacina skórę. VYTT daje nam zawsze zadawalniający rezultat.

Nabyć go można we wszystkich aptekach, perfumerjach i u fryzjerów, a szczególnie w perfumerji Hotelu Bristol, u Ewarysta, u Galardy, w składzie aptecznym Jamnickiego, w Kalotechnice u Mazurkiewicza, u Natalji Aliny, u Władysława i Konstantego, w Aptece Treutlera i t. d.

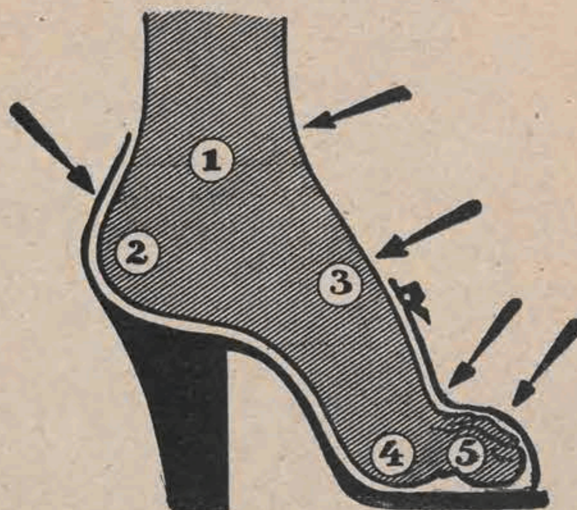
JENERALNE PRZEDSTAWICIELSTWO

PARIS—VARSOVIE

Foksal Nr. 14 m. 9

SPRZEDAŻ TYLKO HURTOWNA

STOPA WYDRĄŻONA



Lekki pewny i elastyczny chód jest niezbędnym warunkiem eleganckiego wyglądu szykownej Pani.

Ale szykowna Pani nosi wysokie obcasy — a te zmuszają stopę do spadzistego położenia, wskutek czego wiązadła na górze rozciągają się, stawy sklepienia w dole stopy podlegają uciskowi, kościec wygina się ku górze, i tym sposobem powstaje *STOPA WYDRĄŻONA.*

Przy stopie wydrążonej cały ciężar ciała opiera się na palcach, co powoduje wykręcenie nogi w kostce i obdarza Panią odciskami i nagniotkami.

A te oczywiście nie dodają wdzięku ruchom Pani.

Ale nie dosyć na tem.

Naruszoną zostaje czynność mięśni podudzia, a więc zjawia się uczucie silnego przemęczenia, bóle reumatyczne, drętwienie łydek i ból w ścięgnie Achillesa.

Po upływie pewnego czasu dolegliwości te stają się nie do zniesienia.

Ale oto zjawia się pomoc dla pięknej Pani.

Pomoc tę przynosi wkładka do obuwia

„PNEUMETTE",

która dzięki swej anatomicznej miękkiej poduszeczce powietrznej ustala sklepienie i podtrzymuje je lekko i bez bólu.

Po użyciu „*PNEUMETTE*" znikają z niebywałą szybkością odciski i nagniotki, uśmierzają się bóle i Pani, dotychczas z wysiłkiem chodząca na czubkach wykrzywionych palców, stąpa teraz pewnie i elastycznie, a uśmiech, goszczący na jej twarzy, wykazuje, że Pani dzięki „*PNEUMETTE*" nie doznaje więcej ani bólu, ani zmęczenia.

„*PNEUMETTE*" nosi się zupełnie niedostrzegalnie i nie wymaga zwiększenia numeru obuwia; noga Pani, zyskując na elegancji i lekkości, nie traci zupełnie przyrodzonego wytwornego kształtu.

Niech piękna Pani, która cierpi na wyżej wspomniane dolegliwości, zechce w celu otrzymania tak niezbędnej dla siebie „*PNEUMETTE*" udać się do:

Centrali Handlowej pow. Warszawskiego S. A.
Oddział „PNEUMETTE", Długa 50,

lub: Firmy „F. GRĘDZIŃSKI i S-ka", *Marszałkowska 130,*
„ „ „F. GRĘDZIŃSKI i Ska", *Wierzbowa 9,*
„ „ „ASTRIS", Drogerja i Perfumerja, *Nalewki 39.*

Z piśmiennemi zapytaniami należy zwracać się do: „CENTRALI HANDLOWEJ" pow Warszawskiego S. A., Oddział „*PNEUMETTE*" *Warszawa, Długa 50.*



JEDWABIE

WIELKI WYBÓR NOWOŚCI

NA

Suknie i Kapelusze

VELOURY, VELVETY, DAMAS

Bogactwo kolorów i deseni.

WEŁNY

DZIAŁ NOWOZAPROWADZONY

DOM HANDLOWY

W. POPOWICZ

MARSZAŁKOWSKA Nr. 147

TELEFON 22-29



F. KIZYK

WARSZAWA

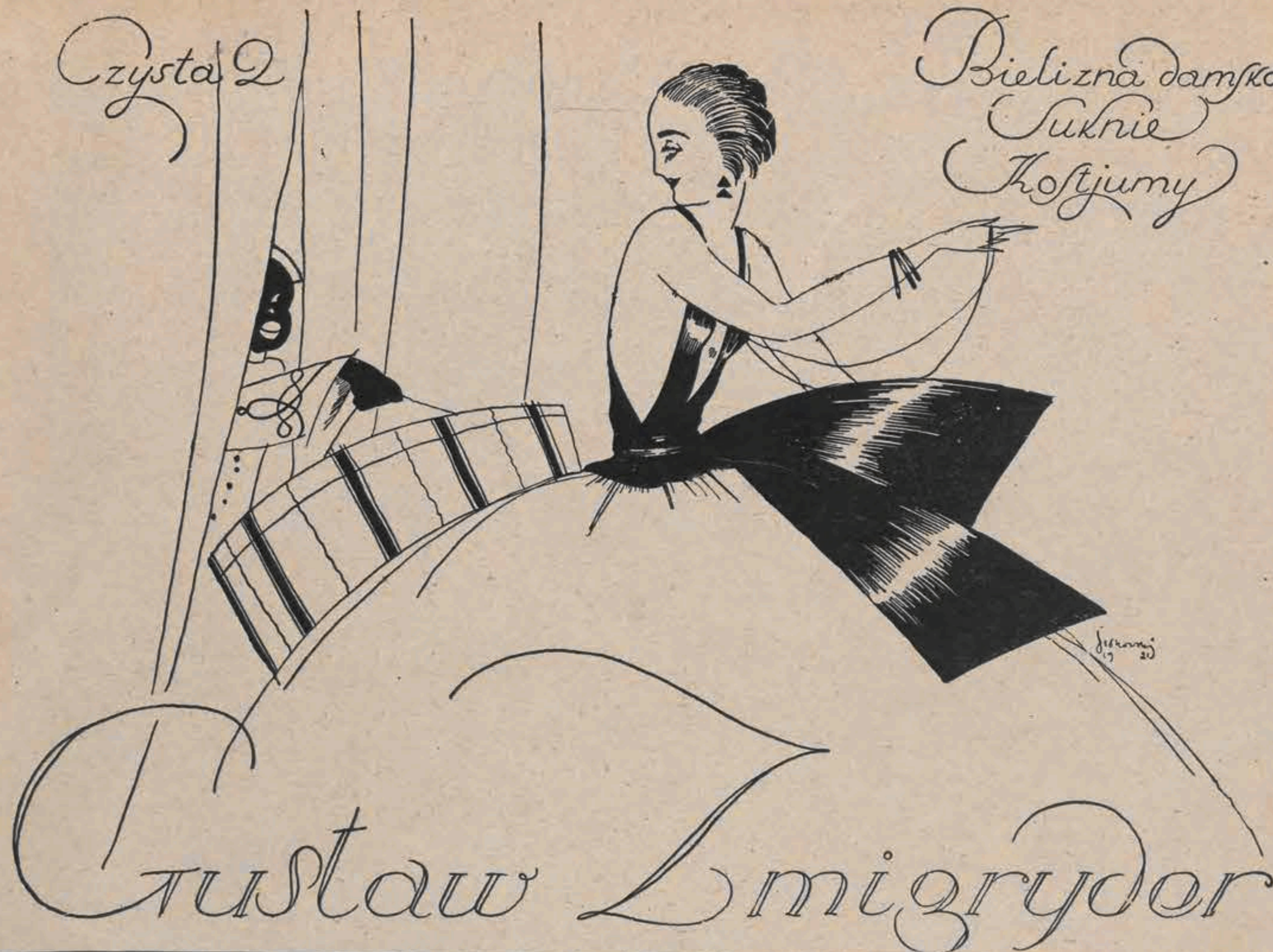
Marszałkowska 119

TELEFON 155-86

POLECA

FUTRA

NA SEZON JESIENNY I ZIMOWY


Czysta 2
Bielizna damska.
Suknie
Kostjumy
Gustaw Zmigryder

Najnowsze modele futer

KTÓRE BRAŁY UDZIAŁ W POKAZIE
NA TARGU AUTOMOBILÓW



PALTO KARAKUŁOWE Z KOŁNIERZEM CHINCHILLE'OWYM.



PALTO Z KRETÓW.



PALTO SOBOLOWE.

M. APFELBAUM i S-KA

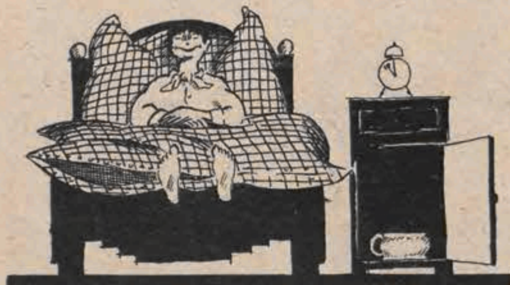
MARSZAŁKOWSKA Nr. 125. TELEFON 198-97



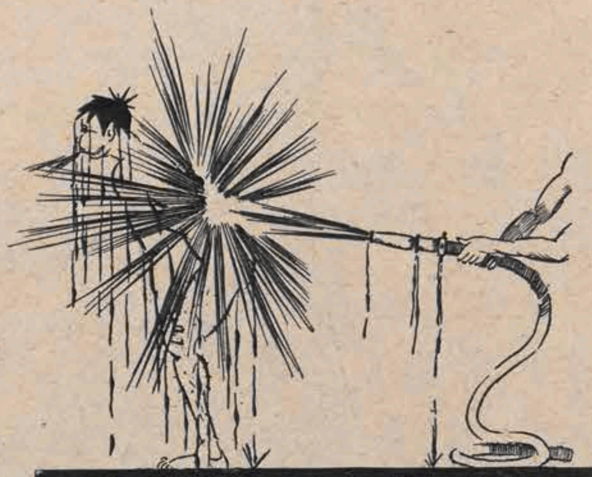
CUKIERNIA
ZIEMIAŃSKA

WARSZAWA • MAZOWIECKA 12

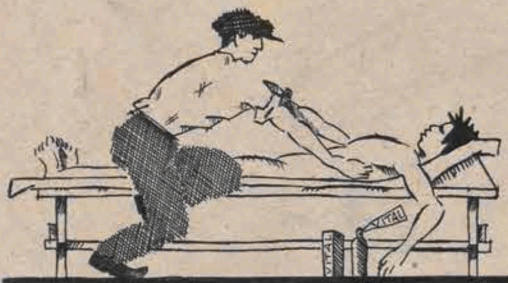
AŻEBY ZOSTAĆ MISTRZEM NALEŻY !!!



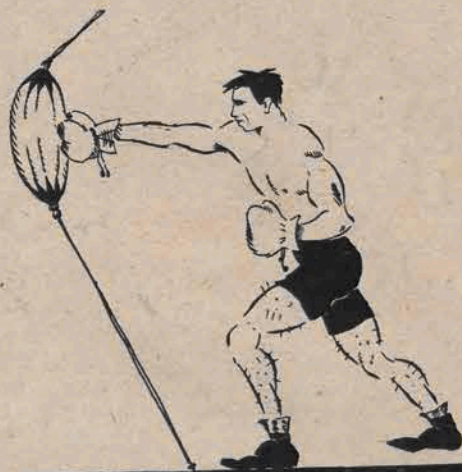
WCZEŚNIE CHODZIĆ SPAĆ



WPROST Z ŁÓŻKA IŚĆ POD PRYSZNIC



MIĘŚNIE DOBRZE MASOWAĆ „VITALEM”



PRZED ŚNIADANIEM ĆWICZYĆ BOKS





ALE PRZEDEWSZYSTKIM ZAOPATRYWAĆ SIĘ W PIERWSZORZĘDNE ART. SPORTU w „KOMISPOLU”



CUKIERNIA
ZIEMIAŃSKA
WARSZAWA — MAZOWIECKA 12

Okładkę wielobarwną i druk wykonano w drukarni „Rola“ Jana Buriana